WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VII POZNAŃ LUTY-MARZEC 1937 NR 2-3 (64-65)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID

Jan Wroniecki:



ŻONA LOTA (rysunek)

Michał Asanka-Japołł:

REGIONALIZM Z NAD JORDANU,
PRZENIESIONY NAD WARTĘ...

Poeci najsnadniej łączą epoki, kraje i ludzi... Czynią to ze strony może najtrudniejszej, boć duchowej, lecz dzięki poezji, dzięki pięknu, które wszędzie: „drga wibrami jednakowej duszy" — potrafią dokonać harmonii, choćby ich dzieliły wieki, lub przestrzenie, na globie najdalsze... Tak też zbliża nam VIII wiek, przed Chrystusem, epokę hebrejskiej poezji „mniejszych proroków", *Stanisław Helsztyński*, jako tłomacz: *„Proroctw Amosa"* (X. tom: „Biblioteki Wici Wielkop." 1936).

Amos, ten „baca" w górach Juda, lecz z kulturą starej miary i wiary, dziedzic pokoleniowej tradycji narodu, który szedł „największym szlakiem" dziejów — był... poetą. Jak i za dni naszych podhalański Sabała, lub śląski „aojd"... Z tą różnicą, że słowiański typ, młody, nie odbiegły od prymitywu, sięga po znamię młodej kultury, gdy Amos, posiada już tysiące lat — w swojej ewolucji myśli, i... mowy! Jakże go zbliżyć naszym czasom? Helsztyński, jako sam „par excellence" — poeta regionalny, szuka podobnej miary, dla tej — również regionalnej poezji, tylko z nad brzegów Jordanu, czy Morza Martwego... I trzeba powiedzieć: szczęśliwy wybór, szczęśliwe połączenie regionalizmów, w obopólnej harmonii... Wszak my — posiadamy od Kochanowskiego

(„Przekład Psałterza") — chyba po temu najpiękniejszą w Europie wschodniej — pretensję, iż... znamy biblję, od lat wiekowych... Znamy i posiadamy (Kochanowski — użył w tłomaczeniu: 38! odrębnych form!) artystyczne walory — dla tej poezji.

Dzisiaj prostota góruje i szczęśliwie wtóruje — tu Helsztyński, prostym rymom „bacy" z nad brzegów jeziora Martwego.

Amos — ale był, coś jak Wernyhora... prorokiem, coprawda w sensie... Skargi, gromiącym zło, przepowiadającym upadek, lecz w rytmie serca i prostocie ducha... biblii!

Ten patriota swoich czasów, posiadający jasnowidzenie szlachetnej duszy, co w zwierciadle prawdy — dostrzega plamy na... sercu, duszy braci swojej... A że z tych plam — to w następstwie... nieszczęścia, więc — trzeba je zmyć, choćby ból sprawiały... Amos — z odwagą i arcykapłanowi Amarjanowi — upadek — przepowiada! czyni swoje... proroctwa!

Nie silił się na zbytni „ton" biblijny. Amos — niekoniecznie pisał stylem proroków do znudzenia... Oczywista nie mógł Helsztyński zaniechać kolorytu, wschodniej, że powiemy: maniery, aby nie zatracił poemat charakteru i nie stał się nowoczesną, banalną... poezją! Boć nie możemy pogodzić się, jak i Sinko, w swym czasie, kiedy Homera, „Iliadę" — „schłopił" śp. Czubek, aby... koniecznie zestrajać epoki, aby ich wartość przewartościować, w dewaluacji stylu i formy... Niekiedy i... treści! — —

Trzynastozgłoskowiec, jakiego użył Helsztyński, odpowiada w pełni powadze i charakterowi wnętrznej konstrukcji poematu, zaś końcowa: „Konsolacja" — w 8-mo zgłoskowym wierszu, tworzą epilog — zapewne i w oryginale formy „akordu" — końcowego, krótszy, a więc zwartej, ośmiozgłoskowej strofy.

Poezja hebrejska, u nas — niestety — mało tłomaczona, od czasów Kochanowskiego, znalazła szczęśliwie w Helsztyńskim — zresztą już tłomaczu („Kohelet", „Pieśń nad pieśniami", „Księga Ozeasza") wielu autorów z tej dziedziny, kongenialnego odtwórcy myśli i treści „Ksiąg wielkich", głębokich, w których tkwi „mądrość wschodu", ale i „wiara wschodu", że: „pieśń nie przemija, jak długo jej godzina cudu — wybija", — jak zauważył Potocki kiedy się imał... „żydowskiej poezji", chcąc ją przyswoić „sarmackim umysłom"...

Od XVII wieku — umysł nasz i twórczość — stworzyły — bodajże własną kartę indywidualnej twórczości Polski, która już w ciągu wiekowej ewolucji kulturalnej, zrównała się z zachodem Europy! Zrównanie i z dalekim wschodem, że możemy powiedzieć, jak i Goethe, iż... „mamy wszystkie arcydzieła obce u siebie"... To znaczy, żeśmy je przełożyli i skupili w tej, naszej „arce przymierza". — —

Biblioteka Wici — z pozycjami Helsztyńskiego — czyni wcale piękny łącznik regionalizmu z przedwieków, z naszym, a czyni to — że na zachodzie, w sposób „zachodni" — bez hałasu, ale z wartością czynu i przekładu, który Helsztyńskiego stawia — w rzędzie pierwszorzędnych tłomaczy. Zresztą i znakomitego tłomacza liryki angielskiej!

Niechżeż nasze słowa, jako znów rzecznika regionalizmu Podhala i Śląska, zaś z obcych — włoskiego, niemieckiego, w słowach oceny pracy Helsztyńskiego — będą tym węzłem, łączącym regionalizm i jego, odwieczne, twórcze wysiłki — w harmonię, wróżącą ekspanzji regionalistycznej przyszłość, zwłaszcza, gdy tacy, jak Helsztyński, czynią zeń — szlachetną łączność poezji polskiej ze wszechświatową.

Kraków: 5/III. 1937.

Tadeusz Pietrykowski:

OBRAZEK Z POWSTANIA 1848 R.

(PRZYCZYNEK DO ROLI ŻYDÓW WIELKOPOLSKICH W POWSTANIU 1848 R. WYJĘTY Z PAMIĘTNIKA J. GORDONA[1])

W r. 1846 władze rosyjskie w Warszawie skazały studenta J. Gordona na posłanie w sołdaty, uważając go za niebezpiecznego dla całości imperium rosyjskiego. Podczas transportu Gordon zdołał zbiec Moskalom, przekroczył granicę austriacką, dotarł do Prus, zwiedził Sląsk, by wreszcie w r. 1848 udać się do Wielkopolski, gdzie, jak podaje w swym pamiętniku[1]), założona została szkoła sztabu, z zamiarem przysposobienia wojskowego młodzieży polskiej.

W drodze do Wielkopolski, w Mysłowicach spotkał Gordon kompanję piechoty pruskiej udającą się nad granicę w kierunku Krakowa. We Wrocławiu znów dowiedział się, że Kirasjerzy pruscy zostali wysłani do Wielkopolski z rozkazem urządzania rewizji i zabierania ludności polskiej wszelkiej broni, a mianowicie kos, które wówczas fabrykowano niemal w każdej wiosce wielkopolskiej. Kirasjerzy mieli też rozkaz postawienia warty przy dzwonnicach kościołów, by odebrać ludności możność porozumiewania się między sobą odgłosem dzwonów.

Gordon otrzymał w Wrocławiu polecenie udania się do Skalmierzyc (autor pisze: do Skalbmierzyć, wsi położonej ponad granicą Polski Kongresowej). Przypiął więc sobie kokardę na pół polską i na pół niemiecką i wsiadł do dyliżansu. W drodze spotkał wyżej wspomnianych białych Kirasjerów tuż pod Ostrowem. Przybywszy do Skalmierzyc udał się do karczmy, gdzie żyd-arendarz poinformował go, że we wsi pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci, zaś mężczyźni, zdolni do władania orężem wymaszerowali wraz z dziedzicem czy też dzierżawcą prawdopodobnie do Pleszewa, celem połączenia się z oddziałem Białoskórskiego. Gordon postanowił więc udać się do Pleszewa, lecz przeszkodzili mu w tym... żydzi.

— Nie zauważyłem — pisze Gordon — że arendarz (żyd), z którym rozmawiałem, znikł od kilkunastu minut z karczmy.

...Skierowałem się ku wiosce, aż tu widzę gromadę żydów, w której dostrzegłem i arendarza, a która nie najlepszej wróżby mi się być zdała, gdyż za ujrzeniem mnie, szwargot żydostwa się powiększył, a gdy zwróciłem się nazad, motłoch puścił się za mną w pogoń.

— Ujrzałem się niespodzianie — pisze dalej Gordon — w położeniu okropnem. Nie od kuli, nie od szabli, ale od żydowskich noży zginąć bezbronny, a za grobowiec znaleźć kupę nawozu w oborze jakiego pachciarza — oto los, jaki mi się przedstawił. —

Uciekając przed żydami Gordon skierował się w stronę lasku, znajdującego się o kilkaset kroków przed nim. Pogoń żydowska zatrzymała się przed tym laskiem, gdyż należał on już do Rosjan.

— Ze drżeniem — pisze Gordon — spostrzegłem słupy graniczne. Żydostwo narobiwszy hałasu, obudziło

[1]) J. Gordon: Obrazki caryzmu, Pamiętniki wyd. 4. Lwów. Nakł. „Dziennika dla Wszystkich". 8° str. 315.

czujność straży, kozaki na konikach zaczęli przebiegać swe luki. —

Lasek, do którego Gordon uciekł, był mały. Nie dawał on zbiegowi żadnego schronienia. Czekała go z jednej strony śmierć z rąk żydów, zaś z drugiej strony niewola moskiewska, przed którą uciekł przed dwoma laty.

Gordon wybrał niewolę, wyszedł z lasku i zbliżył się do rogatki rosyjskiej. Nadstrażnikowi oświadczył, że jako poddany rosyjski postanowił powrócić do kraju, choć bez paszportu.

Strażnicy rosyjscy wzięli Gordona pod swą opiekę, która okazała się gorsza od śmierci, gdyż przerodziła się z czasem w długoletnią służbę sołdacką na dalekim Sybirze.

Powyższy epizod wyjęty z pamiętnika J. Gordona maluje nam jaskrawo stosunek żydów wielkopolskich do powstania 1848 r. Sam Gordon na marginesie swego opowiadania zaznaczył, że Zydzi w r. 1848 w Ks. Poznańskiem dopuszczali się wielu zbrodni. Zdarzało się nawet, że napadali na dyliżanse w chęci mordowania przybywających z zagranicy emigrantów. Będąc najzaciętszymi przeciwnikami sprawy polskiej starali się pomagać Prusakom, gdzie tylko mogli. Wysługując się zaborcom Zydzi chcieli sobie zaskarbić ich wdzięczność. Coprawda powodziło się im dobrze za rządów Hohenzollernów, lecz nie minął wiek, a los żydów w Rzeszy Niemieckiej znacznie się pogorszył. Zapomnieli Niemcy o zasługach, jakie ponieśli żydzi w r. 1848 pomagając tłumić powstanie polskie.

Stanisław Helsztyński:

RODZICE PRZYBYSZEWSKIEGO

(PRZEDŚLUBNA KORESPONDENCJA JÓZEFA I DOROTY PRZYBYSZEWSKICH)

W Bibliotece Narodowej w Warszawie znalazły się pośród spuścizny rękopiśmiennej autora „Na drogach duszy" cztery listy związane z ślubem Józefa Przybyszewskiego, ojca Stanisława, i żony jego Doroty z Grąbczewskich. Pochodzą one wszystkie z r. 1863 i malują plastycznie środowisko, w którym miał przyjść na świat Meteor Młodej Polski. Nauczyciel łojewski śpieszy z konkurami, został bowiem po śmierci pierwszej żony, Eulalii z domu Alberti, sam z pięciorgiem dzieci. Panna Grąbczewska, guwernantka u pp. Znanieckich w Łąkocinie, ma stać się dla nich drugą matką. Listy odnoszą się do okresu od kwietnia do października 1863, od czasu śmierci pierwszej żony do poślubienia drugiej. Panna młoda ma wątpliwości natury moralnej, czy potrafi być tkliwą i dość czułą opiekunką sierot, postanawia dołożyć wszelkich starań, by sprostać temu zadaniu. W artykule niniejszym pomijamy pismo Józefa Przybyszewskiego, wystosowane do matki panny Doroty, wdowy po organiście w Łążynie pod Toruniem, oraz list p. Doroty z dn. 26 sierpnia, nazajutrz po przytoczonym tutaj liście z dn. 25 tegoż miesiąca. Małżeństwo, których preliminarzem są przytoczone listy, nie było ze wszech miar szczęśliwe. Tem niemniej ze względu na osoby, które listy pisały i które miały dać życie fizyczne i ukształtować psyche jednego z najwybitniejszych Wielkopolan, zasługują dokumenty te na uwagę Abstrahując od tego, mają same w sobie swoisty urok, wdzięk i zdolność przeniesienia nas w czasy o dwa pokolenia wstecz.

Zachowujemy starą ortografię.

* * *

I.

Droga Pani!

Jej list zawsze mi miły, jakiejkolwiek on treści, odebrałem wczoraj wieczór, wróciwszy z przejażdżki z weterynarzem wojskowym z Pierania, gdzie przy tej okazyi odwiedziłem mego kolegę przyjaciela z lat młodości i ziomka Janickiego, który lubo starszy odemnie, dopiero przed pół rokiem zmienił stan kawalerski na małżeński. Napowrót jadąc wypadło weterynarzowi wstąpić do Łąkocina; byłbym przy tej sposobności rad chciał pójść do dworu powitać Panią z podróży, lecz najpierw czas już był późny i krótki, a prócz tego nie miałem jeszcze doręczonego listu od Pani, od którego Pani przed odjazdem do matki kochanej, zależnem czyniłaś dalsze stosonki(!) naszego zamiaru, a więc nie chciałem być natrętnym i przebacz łaskawie tę mimowolną niegrzeczność. Żeś pani zdrowo i szczęśliwie powróciła, nikt bardziej jak ja szczerze rad nie był, a lubo Margowski był tak szczęśliwem powitać Panią na poczcie i towarzyszyć Jej w mieście, przecież i ja miałem tę przyjemność widzieć tamże Panią, niezawodnie i Pani spostrzedz mię musiała wstępując na wschody żelaznego kramu gdzie z przyjaciółką swą Pani się witała i rozmawiała; a widząc Jej zaambarasowanie się, przebacz Pani, żem nieśmiał nawet oddać Jej ukłonu, lubo istotnie w myśli widzenia z Panią do Inowrocławia przyjechałem. Dziwne prawda, lecz konieczne nieszczęsne etykiety i skrupuły które przestrzegać niekiedy, lubo ze wstrętem, przymuszeni jesteśmy. Co do treści listu Pani nastręcza on mi uwagi i domysły, wnosząc z wyrazów na pierwszej stronie, jakobyś Pani żałowała uczynionego kroku, czyli też, że krok ten był za spieszny i nierozważny. Mniemam przecież droga najmilsza Pani, iż oświadczenie Jej decydujące, niezawisłe było od wpływów jakowych osób ni też wymuszone naciskiem jakichkolwiek okoliczności. Nie! najdroższa Pani, Bóg to sam zdziałał Jemu zaufajmy, On pobłogosławi nasz zamiar i szczęśliwi będziem w pożyciu naszem, spodziewam się miłym. Nie pierwszy to i nie tak zbyt rzadki zresztą przypadek, aby kobieta, prawda z uczuciem, poszła za wdowca, który przecież ma uczciwy charakter i też ślachetne uczucia i dobre przymioty, i aby została zarazem przybraną matką dzieciom, które ją jak własną kochać, szanować i słuchać zapewne będą. Uznaję ważność tak wzniosłego poświęcenia i znam też trudności i przykrości jakie poświęcenie to w następstwie mieć może; potrafię dostatecznie takowe ocenić i powiedzieć muszę Pani, iż wpierw nim się odważyłem prosić o Jej rękę, nad wszystkiem się dobrze zastanowiłem i rozważyłem dokładnie; czy będę mógł w mojem położeniu zapewnić los i szczęście kobiecie tak miłej, tak delikatnych a wzniosłych uczuć serca. Nie interes własny nie uszczęśliwienie tylko siebie lub moich dzieci miałem na celu, ale tem więcej pragnę i pragnąć muszę, abyś Pani zadowolnioną i szczęśliwą się czuła, bo wtenczas tylko zawitałby spokój w mą duszę stroskaną, gdy dobra żona spędzi smutek i chmury z czoła i w ten czas tylko swoboda i szczęście w dom nasz jak dawniej powróci, gdy miła gosposia, kochana żona i dobra matka w tym domu z przyjemnością i ukontentowaniem gospodarzyć będzie. Miło byłoby mi widzieć się w krótce z Panią osobiście i pomówić nieco obszerniej w tej mierze ustnie, zechciej

przeto droga Pani oznaczyć dzień i czas w którym pozwolisz złożyć uszanowanie i udzielisz chwilki czasu na rozmowę i porozumienie się raz stanowcze. Przesyłam także Pani książki, które nieco przyjemnych a też rozsądnych i dobrze zastosowanych ustępów zawierają; z największą przyjemnością chcę później innych bardziej zajmujących Pani dostarczać t.j. jeśli Pani przyjmie i pozwoli.

Łącząc wyraz miłego poważania zostaję z życzliwością

Przybyszewski.

II.

Łąkocin, dn. 25 sierpnia 1863 r.

Drogi Panie Przybyszesiu!

Kiedy się Pan może dobrze bawił w gronie dobrych przyjaciół i kolegów, ja zaś przeciwnie w Niedzielę bardzo smutną byłam; bo najpierw sen jaki miałam, zrobił na mnie nie miłe wrażenie. Sniło mi się bowiem, że obrączka na moim palcu na drobne kawałki się potrzaskała; przysłowie mówi: „Sen mara, Bóg wiara", lecz ja nie przeczę aby się sny czasem nie miały urzeczywistnieć. Potem znów, wracając z Wną Panią Czajkowską z kościoła, spotkałyśmy w drodze ułana jadącego konno, widząc że Wny Pan Znaniecki i Pan Müntzberg z nim rozmawiali pytałyśmy się dokąd jechał? Panowie patrząc niby ze znaczeniem na mnie, odpowiedzieli że prosto z Łojewa, gdzie właśnie Nauczyciel przez jego kolegów został aresztowanym za śpiewanie pieśni patryotycznych, nie umie Pan sobie nawet wystawić mego przelęknienia, bo w pierwszej chwili nie przypuszczałam aby ci Panowie taki żart pozwolili sobie wyprowadzić, dowiedziawszy się nareszcie prawdy, uspokoiłam się nieco, lecz humór ciężki zatrzymałam. Nad wieczorem pojechałyśmy z Wną Panią Czajkowską do Góry, a ja wszedłszy tamże raptem do kuchni, zgadnij Pan kogo widzę? oto Panią Seidę. Niepodobno mi było zaraz się cofnąć, rozpoczęła się więc rozmowa o tem i o owem, aż nareszcie Pani S... zobaczyła obrączkę na palcu, z wielkim więc podziwieniem zaczęła mi winszować i rozpytywać kiedy zaręczyny były? czyniła mi zarazem wymówki o list który do mnie dawniej pisała i że z powodu owego listu, Pan z jej Mężem poróżniliście się, a ona z strony Męża przykrości doznawać musiała, ja zaś bardzo krótko i spokojnie jej odpowiedziałam, że przed Panem żadnych tajemnic niemam, a z resztą jeżeli powiedziałam Panu Przyszewskiemu o tem liście, to nie w tem celu aby Państwo pokłócić,

Leonard Turkowski:

NOWE WIERSZE

Młody, utalentowany poeta poznański wystąpił ostatnio z nowym tomem wierszy. Pierwszy tomik ukazał się przed dwoma laty pod tyt.: **„Krzyż na rozdrożu" —** jako Tom VIII Biblioteki Wici Wielkopolskich. Tom drugi nosi tytuł: „Krew Ziemi". Omówimy go niebawem, a dziś wyjmujemy z niego dwa charakterystyczne dlań wiersze.

Red.

PADEREWSKI

Chełpią się wszyscy dokoła
wspomnieniami koncertów twych w dalekim świecie.
Nie mam tych wspomnień.
Pamiętam tylko: gdym chodził do szkoły —
grałem drugie skrzypce w twoim menuecie.

Plącze się jeszcze w mózgu dawne, nie widziane:
Poznań, ty, i radość niecierpliwych pięści —
27 Grudnia, powstanie
i
zwycięstwo.

Więc, gdy chcę miłość ziemi poprzeć myślą czynu
i w słowie »patriota« tętno życia wzbudzić —
widzę czarne na estradzie stojące pianino
i szalejący w klawiszach, wiekopomny Grudzień.

KASPROWICZ

Chłopie, coś w świata myślowych potopach
sens swój odnalazł w ziemi — utrudzonej maci!
Wsparłwszy dłoń ciężką na ramieniu chłopca,
mówisz mu: bracie.

Droga do nieba prowadzi przez ziemię —
tyś ją odnalazł i przecież zaszedł, gdzie trzeba.
Więc w smutku rzekłeś wargami drżącymi:
spuście nam, nieba!

Ojczyznę darły byki rozjuszone
gdzieś w kuluarach, w piekle wojennych pożarów.
Ty znałeś prawdę jedną, niewzruszoną:
przyszłością myśli naród.

Współczułeś z nędzą rodu człowieczego,
i w zaślepieniu jego jednałeś go z Bogiem.
Więc dzisiaj siadam nad potoku brzegiem
z Księgą Ubogich.

Dzisiaj w beztreści myślowych potopów
sęs swój znajduję z tobą w ziemi — wspólnej maci.
Wsparłwszy dłoń moją na ramieniu chłopa,
mówię mu: bracie.

bo też i tak rzeczywiście było. Potem zaczęła Pana bardzo chwalić, ale w końcu zawsze nadmieniała, że nigdyby się nie zdecydowała pójść za wdowca.

Że Pan mię tak kocha bardzo mi przyjemnie o tem wiedzieć, lecz że Pan tak tęsknisz, niewiem doprawdy jak Go pocieszyć potrafię? ja bo w tem względzie zawsze zimnej krwi za nikim nigdy nie potęskniłam chyba za Rodzicami kiedy jeszcze byłam w Toruniu, a Rodzice długo się nie dali widzieć w mieście. Niechże ale Pan z tego otwartego wyznania nie wnioskuje że Go nienawidzę, o i owszem mogę powiedzieć że Pana lubię ale czy kocham sama niewiem. — Wymawia mi Pan że nie muszą bydz dla mnie ciężkiemi nasze długie rozdziały, cóż Pan ale na to powiesz, gdyby mi się zachciało odwlec ślub do Nowego Roku? W-na Pani Znaniecka zrobiła mi w przyszłem tygodniu propozycią aby zostać jeszcze do Nowego Roku, dla tego że ma guwernantkę zamówioną, która jej się bardzo podoba, ale że rychlej obowiązku przyjąć nie może. Zapewne by Pan nie czekał tak długo ale przez ten czas inaczej się namyślił, uspokoić jednak Pana mogę, że tak źle nie będzie. Zyczeniem moim jest, abyśmy się w Niedzielę na Nieszporach zaślubili, w Niedzielę w dzień tak uroczysty, 4 Października. W-na Pani Znaniecka powiedziała mi, żeby się wiecznie na mnie gniewać mogła gdybyśmy z kościoła zaraz do Łojewa jechać mieli; kiedy jest dla mnie tak łaskawa niechcę więc okazać się niedelikatną, a że mi już dała czuć nie jedną przykrość, wybaczam jej, bo do tego pewnie najwięcej Wna Pani Czaj. ją pobudziła. Matki mojej chcę jeszcze prosić aby przyjechała, a Pana proszę aby kogoś także ze swoich zaprosił. Dzisiaj albo jutro piszę do Matki prosząc jej zarazem o metrykę która pewnie niedługo będzie mi potrzebna. Co się z listem za zdarzenie stało niemam pojęcia, bo przecież Matka moja mieszka tam gdzie mieszkała. Wczoraj byłam w Inowrocławiu, i jeżeli się nie mylę widziałam Pana Przybyszewskiego ale i Pan mię musiałeś widzieć gdyby nie ta niepogoda, byłabym doprawdy (chociażby mi nie wypadało) Pana poszukała. Za list Jadwisi czule dziękuję, dałby Bóg, aby tak było jak pisze, a Panu znów za kwiatki dziękuję, które jeszcze dzisiaj w wazoniku stoją. Że Pan mi nie pozwolisz jechać z Łąkocina do Matki, nie chcę się Mu więcej naprzykrzać, bo czuję i tak że zanadto jestem wymagalną. Wny Pan Znaniecki przyobiecał mi dać furmankę po niektóre rzeczy, chciałam więc zaraz z tąd jechać, i sama, dla tego, żeby Pan u mojej Matki żadnej wygody nie miał. Dziwi mię, że Pan się dowiedział co Wna Pani Znaniecka i Pani Sonnenberg mówiły o mnie, ja to także już w przeszłym tygodniu o tem wiedziałam, i nawet się bardzo zmartwiłam. Drogi Panie Przybyszesiu, muszę Panu też donieść, że od Wnej Pani Znanieckiej mam krowę przyobiecaną, i dla tego się Pana o paszę dla dwóch krów pytałam. Teraz proszę też Pana aby pisał jak najprędzej, i mi doniósł jak się w Cieślinie bawił, i ile tam osób było; i kiedy Pan wrócił i t. d.

Ściskając dziatwę, Panu się kłaniam i zostaję

Jego Dorota.

P. S.

Wybacz Pan, że list tak źle pisany jedynie dla braku czasu.

Jolenta Brzezińska:

ZARAZA

Nawet babusia buła niedoczekaná. Ledwo rano!

— Jest Drejga? Jest Drejga?

Jakby zbawiynie łod tego zależało.

Pani Szczepańská szykuje pryndko kawe — Polusia paskudná grzebie sie tak, że za nią robić — i niesie sama do pokoju, bo mąż się już niecierpliwi.

— Guzdrácie sie. Ni ma gazyty?

— Anó ni ma listowygó do tegó czasu.

Pán Szczepański łyká kawe,

— Goryntszá być nie potrzebuje a listowy akurat dzwóni.

Pani Szczepańská pyndzi do drzwi, Polusia wylatuje z sypialki, babusia wyłazi z pokoju.

Polusia nájpiyrwsza dolatuje.

— Daj panu — rozkazuje pani Szczepańská i zanosi poczte mynżowi.

Pán Szczepański dopiuł właśnie kawe

— Nalij mi jeszczy.

— Polusia!!

Dziewucha leci po kawe, a pán rozkłádá gazyte. Przejyżdżo ino po wiyrzchu, bo sie bardzo spieszy. Całą stróne z powieścią łodłożuł na bok.

Polka stáwiá kawe przed panym.

— Moge wziuś? — łapie powieść.

Pán Szczepański wcale nie patrzy. Má tam czas.

Polusia odsuwá się pod ściane i tylko ślypiami látá tu i tam.

— Złapali, jóm czy nie złapali?

Ale nie może nic przeczytać. Ledwo zdołá w pospiechu co prześlabizować, a pani już krzyczy.

— Jeszczy tyż tegó potrzeba, żebyś ty mi tu teráz gazyty czytała. A robote já byde robić za ciebie, co?

— Co? Czy ty nie słyszysz? Marsz do roboty. Ale zaráz.

Łogłupiała z tą powieścią, że rady sobie dać ni można.

— Powściyknli sie wszyscy z Dragą.

— A pamiyntász jak my ją czytali?

— Nó tak, to my.

Ledwo chłopcy przychodziuły ze szkoły

— Jest Draga? — wołały.

I jedyn drugiymu gazyte wydziyráł. Matka zawsze sie zdenerwowała. Mogli ją przecież podrzyć. Brała im gazyte, nájpiyrw łobiad, a potym Stachu czytáł głosno. Jak sie kto przy tym czytaniu ruszuł, pani Szczepańska wałuła zaráz w łeb.

— Cicho siedź. Nie kryńć sie. Nie przeszkádzej.

Bo pani Szczepańská czytać nie lubiała i na drugich tyż mocno krzyczała, że powariowali, ale buła bardzo ciekawá tyj powieści, chociáż już ją raz z mynżym czytali.

— Jo jóm jeszczy pamiyntóm te Drage — łopowiadáł dziaduś.

— Dziadzia pamiyntá Drage?

Babusia tyż czytać nie lubiała. Dziadzia musiáł czytać głośno. Babusia wydziwić sie ni mogła.

— Co za diablica.

Szczepańscy kiedyś, jak czytali te królowe awanturnice, to do trzeci w nocy siedzieli, a teráz dziwowali sie sami.

— Ze to tak wszyscy za tą powieścią wariują. Ta babusia, przeszło łosiymdziesiąt!

Bo to wszystko prâwdziwe. I taki kobiety to nie buło jak ta. Łona buła królową serbską. Ta awanturnica. Dziadzia ją przecie pamiyntá jeszczy.

Ale troche tyż pani Szczepańská wątpiała.

— Nazmyślane tyż tam pewnie jest.

Chłopcy, smarkácze, lubiały nabiyrać babusie.

— Łoj babusia, taką powieść czytacie, do nieba sie nie dostaniecie.

— Musicie sie z tegó wyspowiadać.

— Jo ji tam nie czytóm, jo ino posłuchóm.

— Co to za kobiyta, co za kobiyta — kiwała głową. — Pewnie diaboł w ni siedzioł

Wdowa Maciejewská trzymała te samą gazyte co Szczepańscy na spółke z Grochowiáczką. Tyż tylko wedle tyj powieści.

Listowygó spotkała dzisiej na ulicy, leciała właśnie na rynek, włozuła wiync gazyte w koszyk.

Przy maśle natknęła się na panią Szczepańską.

— Pani tyż te samą gazyte abónuje co my.

— Jo bym ji nie trzymała, ale że niedrogo i tak we dwie.

— My tyż dáwni ni mieli. Przysyłali nám miesiąc za darmo...

— Nó, mnie tyż. Po prowdzie to ino ło te powieść mi idzie.

— Nám tyż.

— Czyto jóm pani? Królowe awanturnice? Czy to wszystko prowda?

— Tak, to jest prawda. Nasz dziadzia jeszcze Drage pamiynta

— Grochowioczka tyż powiado, że pamiynto. Ze to tyż tacy ludzie mogli żyć na świecie.

— To buła królowa serbska. My już ráz te książke z mynżym czytali. To nie człowiek ta kobiyta. Piynkna buła, ale czuciá w sercu ni miała.

— Tegó Milana to łóna chce zgładzić

— Łóna naśle na niegó zbójów, cały pociąg zatrzymają.

— A jak ji sie to udało z tym pociągiem z tegó Budapesztu. Wiy pani, jak jo to czytałam, tożym sie cało trzynsła czy łóni tyn pociąg pospieszny prześcigną czy nie. Pani, jak łóni jachali. Takiymu diabłowi to sie wszystko udo.

— Za piniądze wszystko jest. Przecie tyn hrabia...

— Tyn jeji kochanek?

— Tyn. Łón tam dál pinć tysiyncy korón maszyniście.

— Pinć tysiyncy.

— Anó, widzi pani, co to dlá taki kochanicy mynżczyźni nie robią

— Głupie są te chłopy. Zeby tak szaleć dlá taki kobiyty.

— Łóna każdygó tak potrafiuła łomojtać. Kto na nią spojrzál, to musiál sie zakochać żeby nie wiym co. Taką łóna siłe w sobie miała.

— Pán Szczepański czytál Drage dopiyro wieczorym, a tyż nie zawsze. Ni miál czasu. Zresztą, przecie już ráz te książke z żoną czytál. Teráz mu przypóminała.

— Wiysz, już są w tyj piykarni, przy tym kóminie, jak tam to drugie wejście buło...

Chłopcy znowu sie kłóciyli.

— Nieprowda. Tyś jest głupi.

— A ty wiysz. To już jest jej czwárty kochanek. Záraz ci porachuje: doktór León...

— Gdzietam. Łóna już przedtym ich pełno miała. Milan...

U Walterów tyż te powieść czytali. Wszyscy. Nawet Zocha Walterówna, smarkatá. W głowie ji sie zawsze przewrácało, a teráz zupełnie łogłupieje. Tyż takim diabłym bydzie jak Draga. Ino rómanse, najpiyrw łojciec, potym syn, a potym ich pozabijać, żeby sie ich pozbyć. To coś dlá ni.

Nie kłamała pani Szczepańská jak mówiuła do mynża.

— Wiysz, pół miasta ci te powieść czytá. I Napiyralscy, i Wawrzyniákowie, i Kasprzáki i Zbąská.

Zbąská nigdy w życiu doś nie naczytała. Nie lubiała. Chyba że w książce łod nabożyństwa.

Przysyłali wprzód ji gazyte za darmo, co miała robić, przecie nie wyrzuci. Wieczory sie dłużą. Z początku usnyła przy czytaniu, ale potym to ani nie myślała, że to tak bydzie można siedzieć przy takich

Janina Derynżanka:

BAJKA

I odtąd
ból — najwierniejszy przyjaciel
zamieszkał w oczu zwierciadłach — —
matka z żałości, sama bliska śmierci
mówiła:
ona umarła, umarła,
a winne było temu — palto — — —
palto nowe i ładne — które tak lubiła —
palto wiatrem podszyte —
a tu taka srożyła się zima — — —
Tego palta ciepłego,
zeszłorocznego —
nosić nie chciała —
i zawsze na nie wydymała wargi — —
i oto teraz odeszła —
z uśmiechem —
bez skargi — — —

— — — — — — — — — — — — —

nie chcesz wiedzieć jak prawda wygląda w istocie —
odgadnąć prawdę — och, jakże jest trudno!
Może dziewczynie wydało się życie
niedobrą złudą — — —
Więc tylko:
w noc piękną, zimową
otworzyć okno — na chwil kilka —
gdy się gwiazdy w mrozu roziskrzą okowach — —
Więc tylko:
wyciągnąć nagie ramiona —
usta rozchylić w spokojnym uśmiechu —
na gwiazdy spojrzeć —
to przecież nie jest trudno —
to przecież nie jest grzechem — — —

— — — — — — — — — — — — —

poprostu:
zaziębiła się — i umarła —
zresztą — nie sądzisz —
że słuszna za próżność spotkała ja kara?
Odszedłszy —
zostawiła rozżaloną matkę
palto wiatrem podszyte
i małą, dręczącą zagadkę — — —

pierdołach. Bo prawda, królowa awanturnica to nie buły lury. To buła ładná powieść. A podobno práwdziwá.

Pani Wawrzyniákowá nájpiyrw nie czytała wcale. Jak mąż brál gazyte do rynki, to mruczała:

— Ady rzuć to świństwo. Bydziesz se tam głowe łamál. Lepi pogodej zymną.

A potym ani nie pisnyła jak ji dziadzia brynczál:

— Dziywcze nie psuj se głowy.

Teráz dziadzia tyż już nie mruczy. Bó tyż królowe Drage czytá.

Aby Wanda Kasprzáków Dragi nie czytá. Taká mądrá! Już tak podobno dobrze sie uczy, że wej!

— To nie dlá mnie — powiadá.

Co łóna to niby nie czytá. Łoloboga. Myśli, że może głowe Bóg wiy jak wysoko nosić. Lepszá! Má sie widać za taką.

— Powieścidło. Głupie, synsacyjne.

Jakby łóna wszystkie rozumy pojadła. Łojej, co to łóna za hrabiná. Niech napisze lepsza.

Jak wieczorym Polusia szła do domu

— Prosze pani, moge wziuś? — pytała.

— Już matka wczorajszą przeczytała?

— Nó.

— A przyniesłaś?

— Nóó.

— Gdzieś ją położuła?

— W pokoju na stole.

Pani leciała do pokoju.

— Stachu! Gdzie jest królowa Draga?

— Bo jo wiym?

— Nie chowáłeś?

— Może babusia wziyła.

— To ino pamiyntej. Żeby nie zginyła. Mász wszystkie numery?

— Mam. Niech sie mama nie boi. Łojciec tyż przytracoł.

— Pamiyntejcie chłopcy składać, nie pogubić. To bydzie ładna powieść. I długa.

Pani Szczepańska sie kłopotała.

— A książki nie idzie z tych gazyt zrobić?

Głupio buło jak Draga jedyn dziyń nie przyszła.

Babusia łaziuła z kąta w kąt, dziadzia glyndziuł, pani Szczepański coś brakło, a Polusia co kómu łotwiyrała to myślała, że listowymu.

Pewnie z dziesinć razy już sie babusia pytała:

— Jest Drejga?

A chłopcy krzyczały:

— Jest królowa Draga? Dragica, awanturnica, diablica? Dragica, kochanica?

Pan Szczepański chciał zaraz robić reklamacje na poczcie, ale ni miał czasu.

Na drugi dziyń rano piyrwsza na nogach buła babusia.

Wszystko dopiyro sie ubiyrało, a babusia już ciapie.

— Jest Drejga?

— A zmówiliście już babusia pociyrz?

á = a pochylone. Wymowa pośrednia między a i o.

Władysław Marcinkowski:

„ŁZY STARYGO DUCHA"

(GAWĘDA KUJAWSKA)

Władysław Marcinkowski, pisarz ludowy z Kujaw, zdobywa już sobie pozycję w literaturze regionalnej. O istotnych walorach jego pracy, świadczą jego gawędy, z których jedną — w gwarze kujawskiej pisaną — zamieszczamy niżej. Red.

— Świenty Biskupku! — wykrzyknął z radości Wachu, kiedy złapoł za podany mu przez Sw. Wawrzyńca rożen i po nim jak po drobce wygramolił się z otchłani czyścowych. A kiedy znowu poczuł grunt pod nogamy, to już z radości, niewiedzioł co ze sobą robić. Obejrzoł się jeszcze roz po swojem przyodziwku, ztrząsnył z płoszcza resztki czyścowygo popiołu, pasa poprawił fołdy u czamarki obciągnył, a jak się po sobie obejrzoł, to mu się tak raźnie zrobiło, że jeno przytąpnąć i zaśpiwać.

Już sobie odkrząknął, już śline połknął, ale znowy spojrzoł na św. Młodzinioszka wystrojonego jak ksiądz przy ołtorzu, znowy schwyciła go ta jego chłopska nieśmiałość i spokornioł. Stojoł tak dobre ze dwa pacirze i nie śmioł gęby otworzyć... A jak Swięty wzion go łagodnie pod ramie, to zbaranioł do reszty.

— Swienty Biskupku, — odezwoł się jeszcze roz nieśmiało, pokłonił sie po kujawsku kapaluszem do samyj zimi i chcioł świentygu pocałować w ręke. Ale Swięty poklepoł go po ramieniu i rozśmioł się dobrodusznie:

— Nie mów tak, bo tero jezdemy oba równi... zresztom jo tam ani biskupem ani nawet księdzem nie byłem, jeno, jak to sie po waszymu mówi, takim sobie prostym klorykiem.

Jednak, że to Wachu myśloł jeszcze po chłopsku, — niby tak, że to zawdy lepij komuś na honorze coś dołożyć jak ująć — podrapoł sie po łbie pomedytowoł troche i bąknył nieśmiało:

— Gdzie mnie tam z księdzem sie równać. — I popatrzył po swoich łachach i po złocistem księżym przyodziwku. A Swięty jakimś rozczulonem okiem patrzył sporą chwile na zgiętego w pokorze chłopa, szepnął:

— Jednak ta Królowo Nieba i Zimi, miała racje!..

Na dźwięk świentego imienia, chłop zdjon kapalusz, skłonił nabożnie głowe...

Młodzieniec, tymbardzij ździwiony, westchnył sobie i znowy odezwoł sie do Wacha:

— Teroz już wiem, dlo czego wy mota w Matce Boskij takom Orędowniczke...

— A, bo co? zapytoł sie nieśmiało Wachu.

A Swięty wzion mu zaroz opowiadać.

— Bo, widzisz — powiado — tam w Niebie była o wos dużo narada, a Panna Nojświętszo wymogła to, że wasza Polska dostała wolność...

— Co, nasza Polska jest wolno, już Mimców na Kujawach nima? — zapytoł drżącym ze wzruszenia głosem, patrząc Swiętemu ciekawie w oczy.

— Tak, i to za przyczynom Najśw. Panny, Waszyj Królowy! —

Chłop nic nie mówił, jeno jak stojoł tak podł na kolana schylił ze czcią głowe, a łzy kapały mu kroplą po kropli, z radości.

Św. Wawrzyniec som ledwo że płacz hamowoł, bo ta chłopsko rzewność przypadła mu tak do serca, że som sie rozczulił. Podniósł chłopa na nogi, wzion go głoskać po głowie.

— Cicho,... nie płacz, jo rozumie twoją radość...

— A, że te Mimcy tak łatwo te nasze Kujawy opuściły... — zaczon Wachu, kiedy już był na nogach — przecie to była dlo nich drugo zimia obiecano.

— Nie tak łatwo! Poruszyli wszystko Niebo i ziemie, ale co, musieli!

— A, nasze chłopy jak, zabrały sie tyż do nich? — zapytoł się ciekawie, bo jako prowdziwy Kujawiok, rodby też coś o swoich usłyszeć.

— Ooo... niezgorzyj i dobrze zrobili, bo w niebie, to już sie zdawało, że Mimcy dokażom swygo.

— A, czy to w niebie są tyż Nimcy? — zapytoł sie ździwiony.

— Co nimajom być, są... Co prowda, to nie tyle co wos, ale sporo gromada jech sie tam trzymo. —

— Ze tyż to Pan Bóg jech tam scirpi... — zamruczoł.

— Niemów tak, — skarcił go Święty — bo u Pana Boga są wszyscy równi, i wszyscy majom jednakowe prawa.

Wachowi nimogło sie to tak wszystko od razu w głowie pomieścić, to tyż zadumoł sie na dobre. To patrzał na Swiętego, to sobie w głowie coś ukłodoł, ale zapytać sie nie śmioł. Wawrzyniec, że to w jego myślach czytać potrafioł, a żol mu sie chłopa zrobiło, wienc zaczon mu opowiadać, jak to tam, w ten czos było w tem niebie. A że umioł skłodnie i do rzeczy godać, to tyż Wachu tak słuchoł, jaż gębe otworzył.

— Co prowda — powiado — chociož jo som niejezdem żodnym Polokiem, ale że to mom pod sobą sporą gromade takiech jak by Wachów, to tyż uwożali mnie w Niebie prawie za waszygo. To tyż, jak zaczon sie ten Sąd nad wszystkiemy norodamy, to musiołem stanąć za świadka, po waszyj stronie.

— To w Niebie był Sąd?...

— A naturalnie, ale nie przerywej... — Pan Jezus zasiodł po Prawicy swygo Ojca Niebieskigo i Krzyżem Swiętym, zaroz za bagnetamy waszych chłopoków wykreśloł granice Polski...

— Mój Jezu! — wyrwało sie ż wezbranyj piersi Wachowi...

A Swiąty jeno nabrał powietrzo i opowiado dalej:

— Jak przyszło tutej do zachodnich granic, tak zaroz powstoł ogromny krzyk, płacz i lament. — Wszystkie Swiente Wilemy, Frydrychy, Hermany z Bonifacem na czele, jak dopadli do Tronu Bożego, jak zaczną płakać, lamentować, a dowody stowiać, to już wszyscy struchlelim, bo myślelim, że Pan Jezus da się przekonać. — Poloki, — powiadajom — nigdy sie rządzić nie umieli... nigdy u niech zgody i jedności nie było i nie bydzie. Patrz Panie, co to za noród. Jedni trzymali z namy, drudzy znowy staneli, przeciw nom, co im nieślim, kulture praworządność, oświate, porządek. A inni znowy tam we Francji obałamuncajom naszech żołnirzy polskigo języka, namowiajom jech żeby wolczyli przeciw nom, jeich Panom Dobrodziejom. — Jeżeli chcesz dać im te Polske to im dej, ale niech oni nie wydzirajom nom tyj zimi, co to uświęcilim ją krwawicom naszych kolonistów!

— A, czy to z naszech Swiętech tam nikogo nie było? — zapytoł sie Wachu.

— Toć byli... byli... ale uwożosz, jak to wy wszyscy, jak jedyn na drugiego, to mota dużom gębe, za to w pośród obcych to jakbyśta nie potrafili do trzech zliczyć...

— Otóż ci wasi stojeli pokornie, a na rzucanom im prowde w oczy byli cicho jak trusie, a jak który chcioł sie odezwać, to oni zaroz hurmem na niego. Naprzykłod, kiedy Sw. Stanisław Biskup chcioł prosić o głos, to zaledwie podniósł palec do góry to zaroz go zakrzyczeli... Jakiś tam święty, już nie wiem czy Norbert czy Robert, krzyknoł mu w twarz: — Ty sie nie odzywej staruszku, bo oni ciebie samygo zamordowali, a nawet tak cie poćwiartowali, że gdyby nie Orzły. to chto wie, gdziebyś ty dzisiej był.

...No i Swięty Biskup zamilkł, a z nim cała niezliczona rzesza, a ci coroz wiyncy dyszkurowali.— Panie, wołajom — zaledwie dołeś im przebłysk wolności to co oni sobie dokazujom? Ze szkoły chcą Imie Twoje wymazać, a na swojem Zamku Królewskim wywiesili czerwonom szmate, godło szatana.

— Czy to prowda, czy to tak źle by sie miało w tyj naszyj Polsce dzioć?

— Niby prowda, ale słuchej dalij. Kiedy już Nimcy były pewne swojego a my potruchlelim, patrzymy chto wchodzi?... Nojświętszo Panna. Rozśmiała sie jeno i powiado:

— Toć co prowda, to oni w takie głupotki lubią czasem sie pobawić, ale łatwo z nich wyrosną...

A zaroz skiwnęła na Swiętych Patronów i Apostołów, tc jak się za nimy chmara zwaliła, a wszystkie chłopy jak świce to zaroz nom się raźniej zrobiło.

I tak święty Jan wprowadził swoich Jaśków, Mateusz Mateuszów, Łukasz Łukoszów, a za nimy zaczeni się sypać za swojemy Patronamy, Bartki, Wojtki, Kuby, Stachy, Piechy, Pawły... Ale to było wszystko niczem do tego, bo kiedy Sw. Michał wszedł na czele całyj swoji gardy Michałów a wszystko jak jeden równo umundurowane a w rogatywkach i pod bagnetem i chóry anielskie swoją fanfare a wszystko klęknęło i huknęło po polsku: Pod Twoje Obronę, i nad całą Polskę rozkołysały się kościelne dzwony, to ci dopiro sie zrobiło. — —

— — — — — — — — —

Duch starygo Wacha unosił się nad Polską. Z góry obłoków patrzył na swoje Kujawy.

Cało ta Kujawsko równina, jak biołym obrusem nakryty stół w dzień Sw. Wilji, zaścielono była bieluchnem śniegiem...

— Włośnie wschodziło słońce, i rzucało całe snopy ognistych promieni, które łamiąc sie na iskrzącym śniegu, świciły sie różnokolorowymy brylantamy.

Ludzie się ruszyli... Jedni spieszą za odgłosem dzwonów, inni biegli wprost w strone — Inowrocławia...

Inowrocław spowity w sztandary narodowe, wyglądoł jak Pon Młody, w dziń swojego weselo. Na Rynku ścisk i natłok — odprawio sie Mszo... Ołtorz ustawili w tym samuchnem miejscu, gdzie wczoraj jeszcze, stojoł posąg czornej Germanji.

A jeszcze większo ciżba, jeszcze gęstszy natłok panował tam, gdzie przy zbiegu dwuch ulic stoi duży budynek, z wypisanymy złotymy

Franciszek Grott:

ULICA NAD BRDĄ

Pluszcze woda, bije w barki długi kadłub,
przelewa się w dreszczach mocą nieodgadłą — —
wżarła się tęsknota w brzeg, w rzędy berlinek;
więzione bezprawnie nie chcą losu winić,
zwierzają się falom chciwe wieści z świata — — —

Srebrnie pluszcze woda w słabym blasku latarń.
Ulicą nad brzegiem zapadniętą w półmrok
wstrząsnął niespodzianie spóźnionych kół turkot.
Przewiało naprzestrzał, chłód zajrzał do okien,
zawisł spokój nad Brdą szpitalny, głęboki.
— — — Stanie tuż przy płocie dziewczyna o zmroku
wsłuchana cała w rytm klaszczących w bruk kroków
o oczach, którym łez nie trzeba już suszyć — — —

Zerwie się spłoszona cisza kocim susem,
przemknie wzdłuż parkanów zamieniona w kulę
aż wiatrem podszyta, popchnięta w zaułek
znienacka w drodze zachłyśnie się nad sterem
żałobą ciśniętą w zwieszoną banderę.

głoskamy na szczycie — Bank Ludowy. Tam spieszom wszyscy, mali i dużi, bogocze i bidni...

Przed dom zaiżdżajom i pańskie karyty, i gospodarskie półkonki i... śtyrokonne wozy folwarczne — z kobitamy. Wszystko sie tłoczy, wszystko sie ciśnie i sypie pełnymy gorściamy piniądze... — dlo Polski...

Obok pana we futrze z dużą skórzanną torbą, staje gospodosz w burce z wypchanem tobołem... Kole pani z miasta, stoi kobita ze wsi... odszypłuje węzeł, sypie złoto do złota, talary do talarów... Tu łyk z waszecia obleczony, tu znowy kulawo babusia obmachutano w czerwonom hustke, zębamy odszypłuje róg sznyptucha, zgrabiałymi palcamy wyszukuje kilka złotków, co na pogrzeb je sobie ciułała, skłodo je nieśmiało — na Polske...

...Kupy złota rosną jak zboże na śpikszu...

...Duch starygo Wacha z góry obłoków patrzoł na to wszystko i płakoł z radości...

— — — — — — — — —

Ludziska spoglądali w góre, mówili jeden do drugigo: z dachu kapie... i wróżyli sobie to i owo... A jednak to nie były krople wody, jeno łzy starygo chłopa kujawioka, którego duch unosił się nad Kujawamy i płakoł z radości...

Mieczysław Dereżyński:

NIEZNANY TŁUMACZ PRUSA

Był taki. Owszem. Tłumaczył Prusa na język niemiecki, a pochodził nie skądinąd, tylko z Kujaw. Wpierw nauczyciel ludowy, potem i przytem trochę literat, następnie pełen ognia, zadzierżysty dziennikarz, należy do naszych pisarzy minorum gentium.

Urodził się w Chróstowie w powiecie inowrocławskim 1845 roku, a zwał się Michał Łukowski. Jakie skończył szkoły, nie wiadomo, że seminarium nauczycielskie — to pewna. Gdzie zaczął swą karierę, też nie wiemy, ale skończył ją w Gnieźnie wskutek konfliktu z władzami przełożonymi.

Długie lata przebywał w Mogilnie, gdzie ten i ów obywatel starej daty jeszcze go sobie przypomina. Żonaty był z Marią Bąkowską, Pomorzanką, urodzoną w Chełmży 1851 r. Z małżeństwa tego przyszły na świat w Mogilnie: Waleria, Władysława, Marian, a w Gnieźnie urodził się Cezar.

Koleje życia Michała Łukowskiego nie są nam bliżej znane. Pozbawiony przez władze pruskie posady nauczycielskiej, przerzucił się do dziennikarstwa, które nie było mu obce, gdyż już jako nauczyciel zasilał artykułami prasę wielkopolską i śląską i wydawał broszurki dla ludu. Był kolejno redaktorem kilku pism polskich, a między innymi i „Dziennika Kujawskiego" w Inowrocławiu, gdzie — po ustąpieniu z redakcji Teofili Radońskiej — wspólnie pracował z Józefem Chociszewskim.

Po wyjeździe Chociszewskiego do Gniezna, od września do października 1895 r. podpisywał „Dziennik Kujawski" jako redaktor odpowiedzialny Franciszek Elsner, a następnie do końca roku Michał Łukowski, człowiek ruchliwy, dosyć zdolny i płodny. Wysoki, szczupły, łysawy, wciąż czymś podenerwowany, większość dnia spędzał przy biurku redakcyjnym. Raz po raz popadał w gniew, targał niespokojnie siwe sumiaste wąsy, lecz wnet odzyskiwał równowagę. Bali go się zecerzy, ale i kochali, bo złote serce kryło się pod powłoką szorstkości pana Michała.



Witold Koczorowski:
WINIETA TYTUŁOWA do X. tomu Biblioteki Wici Wielkopolskich.
(Drzeworyt oryginalny).

Łukowski bawił się w historyka, płodził miłe wierszyki i nowelki ludowe i pisywał niezłe artykuły polityczne pod pseudonimem „M. Lechita", a dłuższa jego praca, drukowana w „Dzienniku" p.t. „Sprawa sztumska w świetle walki kulturalnej"[1]) wyszła w odbitce jako broszurka, zyskując uznanie czytającego ogółu.

W broszurce tej omówił autor na tle przykrych zajść, spowodowanych przez ks. prob. Stalińskiago w parafii sztumskiej, sprawy „kulturkampfu", zainicjowanego przez Bismarcka i jego adherentów. W sposób zajmujący, pięknym, jędrnym językiem opisał Łukowski burzę „kulturną" oraz jej ujemne dla żywiołu polskiego i dodatne skutki. Broszurka posiada wartość nieprzemijającą z punktu historycznego i historiozoficznego, zawiera szereg śmiałych tez, które w odniesieniu do rozpętanej przez Bismarcka burzy antykatolickiej i antypolskiej uznała oficjalna historia naukowa. Ton broszurki bojowy, wypowiedzi autora śmiałe i trafne, apologia znękanego społeczeństwa wielkopolskiego mocnymi poparta argumentami. Nic więc dziwnego, że broszurka przysporzyła Łukowskiemu popularności i wywołała wrzawę w obozie niemieckim, a uznanie wśród Polaków.

Łukowski był też redaktorem płatnego dodatku tygodniowego p.t. „Piast", który zaczął ukazywać się obok „Dziennika" w 1896 r. Pismo to redagował Łukowski bardzo żywo,

[1]) „Sprawa sztumska w świetle walki kulturalnej". Napisał M. Lechita. Odbitka z „Dziennika Kujawskiego" Inowrocław, nakładem Księgarni „Dziennika Kujawskiego" 1895, 8° mała, stron 66.

umieszczając na jego łamach m. in. swoje prace literackie, wiersze lub własne tłumaczenia z francuskiego, rosyjskiego i niemieckiego. Znajdujemy tam m. in. jego rozprawki: „Kobieta w gospodarstwie", „Z Gopłem i Mysią Wieżą", „Nowe drogi" (o handlu polskim) i przekład powieści A.S.Puszkina p.n. „Wystrzał". Od 1897 r. stał się „Piast" bezpłatnym, ilustrowanym dodatkiem tygodniowym „Dz. Kuj." i wychodził przez szereg lat.

Wolny od zajęć redakcyjnych czas poświęcał Łukowski na pracę społeczną i oświatową (interesował się pszczelnictwem, ogrodnictwem) oraz na pracę literacką. Ślęczał nocami nad stosem książek, wertował stare roczniki gazet, uczył się obcych języków, tłumaczył wiele na język ojczysty, pisał nowelki, poezje, rozprawki historyczne.

Z lubością oddawał się ukochanym zajęciom literackim, dalekim od zwykłego grafomaństwa. Miał już na tym polu pewne doświadczenie i pozycję. Wydał bowiem w Bytomiu wierszowany katechizm dla ludu[2]), a w Gnieźnie w dwu częściach podręcznik gramatyki polskiej[3]).

W Inowrocławiu przełożył Łukowski na język niemiecki głośną powieść Bolesława Prusa „Emancypantki" i wypuścił ją w wydaniu książkowym na świat 1794 r. pod ulubionym swym pseudonimem „M. Lechita". Gdzie ta rzecz wyszła nie zdołaliśmy stwierdzić. Musiała zapewne cieszyć się dużą poczytnością wśród kulturalnych sfer niemieckich ze względu na swe walory literackie.

Sam fakt przyswojenia literaturze niemieckiej poważnego dzieła Prusa chlubnie mówi o Łukowskim jako tłumaczu. Odważył się tym samym na czyn pisarski dużej wagi o poważnym dla literatury polskiej znaczeniu propagandowym. Już to dobrze o nim świadczy.

Z Inowrocławia wyjechał Łukowski do Poznania w 1899 r., a w ślad za nim podążyła jego rodzina.

Jak słychać, resztę życia spędził Łukowski w redakcjach wielkopolskich i na emigracji w Niemczech. Dalsze losy nieznanego tłumacza Prusa są nam nieznane, a wartoby do jego biografii dorzucić choć kilka szczegółów.

[2]) „Pankracy i Onufry, czyli wykład katechizmu rzymsko-katolickiego wierszem" Bytom, druk „Katolika", 1891 r., 16°, str. 58.

[3]) „Elementarny przewodnik, zawierający najważniejsze prawidła języka polskiego dla użytku w szkole i w domu, popularnie opracowany Gniezno, druk. I. B. Langiego, 1886 r. Brosz. część I. 45 fen., brosz. część II. 30 fen. Komplet w jednym tomie 75 fen.

Alfred Kowalkowski:

WIDOK NA MIASTO

Przedemną ściana drzew, a za drzewami miasto
Zapadło się w dolinę skłębionym morzem brył.
I tylko włócznie wież w półkulę nieb przepastną
Wtopiły się piono rzutem zaklętych sił.

Pośród zielonych drgań tańczących z wiatrem liści
W kamienny bezwład skute śpią fale dachów wkrąg,
A ponad nimi tor, gdzie wolno toczą wyścig
Obłoki żeglujące do horyzontu wstąg.

Spopielił wszystko żar w bezkształtną masę żużli,
Roztopił w tyglu słońca i rozleniwił ruch.
Lecz w życiu ciągle trwa — jak wewnątrz morskiej muszli —
I dniem w zenicie wstrząsa wielkiego miasta duch.

Zbigniew Bieńkowski:

TOPIŁEM W ZMIERZCHACH WÓD...

Topiłem w zmierzchach wód śliskie, zimne przestrachy.
Mgły wonne parowały ze skrzyni tataraku.
Mówiły fale: w obręcz snów skronie twe zakuj
i ku płynącej zorzy zwiędłe ciało nachyl.

Płotki magiczne strzały ze złotej cięciwy
grzęzły, jak monety, w biernie stężałej smole.
Dzień sącząc przezemnie zmęczonych kwiatów boleść,
przepadał w smutnych oczych zestrzelonych rybitw.

Wieczór, — błędny topielec o oczach brzozowych,
idąc przez łąkę, wieszał łzy ciche na trawach.
Dziewczęcym nocom szyby ze srebra posprawiał,
a mnie kazał rękami rozpacz w stawie łowić.

Leonard Turkowski:

W OBRONIE SZTUKI LUDOWEJ

Sztuka ludowa w Polsce zamiera. Może nie tylko w Polsce — ale o Polskę przede wszystkim nam chodzi. A Wielkopolska nam najbliższa i najdroższa.

Przyczyn nie mało. Nie o nich jednak chcę mówić.

Wielkopolska pierwsza zachorowała na „miastomanię", co zresztą jest zrozumiałe: jest najbliższa zachodu.

Rzecz jest smutna. Sztuka ludowa, to to, czego niektórzy dziś jeszcze szukają i źle szukają: to czysta sztuka — w znaczeniu wolności od brudów i naleciałości. Jest wynikiem przyjaźni z ziemią — w Imię Boga. Jest odblaskiem piękna ziemi i przyrody.

Takie refleksje nasuwają się przy zwiedzaniu zbiorów ludoznawczych im. Heleny i Wiesławy Cichowicz, wystawionych od lat dwudziestupięciu w Muzeum Wielkopolskiem w Poznaniu. Jeszcze bardziej zasmuca piękny w gruncie rzeczy fakt wydania księgi pamiątkowej z okazji właśnie tego dwudziestopięciolecia. Bo przecież rzeczy wędrujące do muzeum — to weterany, wycofane z obiegu! (W Muzeach starego typu tak; nowoczesne jednak muzealnictwo walczy skutecznie z Muzeami-cmentarzami — przy. red.). Trupy! A tu jeszcze w księdze monografie wyczerpujące, ze zdjęciami, rysunkami, wzorami, nawet krojami strojów! Więc już całkiem koniec? — Maski pośmiertne!

No, ale dość tego. Narzekanie nic nie pomoże — tylko: czyn. Helena i Wiesława Cichowicz spełniły go. Ostatnia pełni go do dziś. I są ludzie, którzy do tego przykładają ręki. To dobrze! to bardzo dobrze! Przechowywanie coraz to rzadszych zabytków jest prawdziwym aktem twórczym. Boć postęp kultury polega na budowaniu wzwyż przez nawiązywanie do dzieł już stworzonych.

Sądzę, że Czytelnik wyrozumie smutny wstęp. Ale na tym tle, tym radośniej jest uświadomić sobie wartość trudów zbierania, kolekcjonowania i konserwowania zabytków sztuki ludowej.

Po jubileuszu została pamiątka trwała i piękna. „XXV-lecie zbiórów ludoznawczych im. Heleny i Wiesławy Cichowicz w Poznaniu". Taki jest tytuł księgi. Tłoczony na okładce z drzeworytu Stanisława Zgaińskiego z Szamotuł. Chcę podnieść m. i. piękne wykonanie wydawnictwa. Kilka set zdjęć i rysunków: zdjęcia Wiesławy Cichowicz oraz firm: Puciński, Mertens, Ruch i Ilustracja Wielkopolska; rysunki Zgaińskiego, Tadeusza Kołomłockiego i Tadeusza Kurpińskiego. W tekście inicjały Zgaińskiego. Na dwóch wkładkach kartonowych: fotografia ś. p. Heleny Cichowicz i barwna plansza W. Boratyńskiego przedstawiająca wnętrze chaty krotoszyńskiej. Księgę drukowano w drukarni „Ostoja" pod kierownictwem Czesława Szczepskiego.

Zawiera ona kilka cennych rozpraw naukowych. Na początku obszerny zarys historyczny Andrzeja Wojtkowskiego. Cykl prac z zakresu ludoznawstwa otwiera opis stroju Bamberki przez Wiesławę Cichowicz — opis wyjątkowo wartościowy, pełen najdrobniejszych szczegółów, bogato ilustrowany kilkudziesięcioma fotografiami, rysunkami i wzorami kroju.

Janina Pietruszyńska podaje historję dudów wielkopolskich oraz wiadomości o ich budowie, technice gry, stroju i t. p. Bardzo ciekawy jest plastyczny felieton rodowitego biskupianina Jana Bzdęgi o strojach i zwyczajach weselnych na Biskupiźnie, pisany częściowo gwarą biskupiańską, bogaty w cytaty oryginalnych śpiewek. Tadeusz Kurpiński omawia sztukę ludową Wielkopolski, własnoręcznie ilustrując swój artykuł. Wreszcie dowiadujemy się o haftach wielkopolskich i oglądamy całe bogactwo wspaniałych wzorów!



Witold Koczorowski: „PROROK"
(Drzeworyt oryginalny)

Gustaw Morcinek daje słoneczny felieton o zabytkach śląskich, mieszczących się w muzeum.

Znajdujemy jeszcze odbitkę oryginalnego rękopisu Feliksa Nowowiejskiego; partytura oberka kaszubskiego, przypisanego Wiesławie Cichowicz.

Jest też mój wiersz p. t. „Nie dać by zginęło". Należałby on właściwie do działu księgi „Listy dotyczące zbiorów". W dziale tym znajdujemy pochwały m. i. kilku wybitnych osobistości. Te słowa uznania oddają należną sprawiedliwość twórczyniom zbiorów.

Słowami uznania chcę też zakończyć tę krótką informację.

Treść księgi jest bogata i pełna wartości. „Poziom" prac wysoki. Dzieło będzie pierwszorzędnem źródłem dla zainteresowanych naukowców, tak samo, jak są niem same zbiory, których księga jest doskonałem uzupełnieniem.

Jest też doskonałem uzupełnieniem Kolberga, w części o Wielkopolsce.

* * *

Już po napisaniu powyższego otrzymałem książkę Jana Bzdęgi p. t. „Biskupianie", o której przy sposobności warto kilka słów powiedzieć. Biskupizna jest w Wielkopolsce najżywszą oazą kultury ludowej i Biskupianie trzymają się tradycji uparcie i z dumą, którą trzeba serdecznie popierać.

Jan Bzdęga (współpracownik wyżej omawianej księgi) jest właśnie takim upartym i dumnym i Biskupianinem. Jego książka jest pierwszym poważniejszym krokiem młodego pracownika regionalnego. Wydał ją Wlkp. Zw. Teatrów Ludowych w Poznaniu, czcionkami Drukarni Spółkowej w Kościanie. W pracy znajdziemy materiały, obfite, skrzętnie zebrane — nie opracowane jednak naukowo. Zresztą, to leżało zapewne w intencji autora. Za to materiały są autentyczne, podane ciepłem sercem „autochtona", który kulturę swego regionu głęboko przeżył. Nie ma ta praca nic wspólnego z tak modnym dziś, w radio zwłaszcza panoszącym się, płytkim reporterstwem.

Przeglądając rozdziały, można sądzić, że mowa tylko o obrzędowości; p. Bzdęga przechodzi kolejno różne tradycyjne uroczystości. Ale w czytaniu okazuje się, że poszczególne artykuły obfitują w szczegółowe, degresje, odnoszące się do strojów, muzyki, tańców itd. O strojach

specjalnie dużo. Mnóstwo cytatów piosenek — z nutami. Opowiadanie przeplatane jest gwarą. Wszystko to specjalista wyłowi z łatwością. Przechodząc obrzędy od „krzcin“ poprzez najbogatsze w momenty tradycyjne wesele, „katarzynki“, „winiec“, podkoziołek i poszczególne święta, aż do pogrzebu — maluje autor ze swadą całe życie biskupiańskie. Nie zupełne opanowanie języka i błędy wykonania graficznego książki — wszystko można wybaczyć wobec bogactwa materiałów.

Ilustracje i okładka W. Boratyńskiego bardzo udatne.

Materiały źródłowe z zakresu wielkopolskiej sztuki ludowej rosną.

Alfons Szyperski:

SAWANTKA Z MARGONINA

WYJĄTEK Z DRUKUJĄCEGO SIĘ TOMU XI BIBL. WICI WIELKOP. „OBSZARNIK I MUZY“ POGADANKI REGIONALNE

Stary Fryc był antyfeministą. Posądzono go nawet o homoseksualizm. Żył trybem kawalarskim, z żoną rozstał się po kilkoletnim pożyciu. Uczuciem obdarzał za to pieski w gabinecie. Towarzystwo dobierał sobie męskie. Na wieczorach królewskich znajdował miejsce tylko szyderczy dowcip i jowialny żart.

Ten to filozof z Sans-Souci, nieugięty wobec swoich a pokpiwający z obcych, miał w ciągu 74 letniego żywota dwa okresy romantycznej zgoła egzaltacji. Raz gdy szesnastoletniego królewicza zabrał papa na karnawał do Drezna, gdzie huczne zapusty wyprawiał nasz August II, Sas, po wtóre — już po pięćdziesiątce — gdy zażywał sławy jako energiczny i wyrafinowany król pruski. W obu wypadkach doznał Fryderyk Wielki jakby urazu olśnienia przez wdzięk niewieści. Urzekły go poprostu dwie przedstawicielki — przynajmniej z nazwiska — narodu, dla którego miał jak najgorszy słownik.

W gronie Polaków na dworze saskim w Dreźnie prym wodziła Anna Orzelska i w niej to właśnie bez opamiętania zakochał się królewicz. Rozłąka z nią miała dlań przykre następstwa: wychudł, chodził jak cień, popadł w czarną melancholię, stracił apetyt, a częste objawy osłabienia — pisze siostra — budziły obawę, iż skończy na suchoty. Gdy dochodziła go błoga wieść o przybyciu orszaku polskiego do Prus, siły w zaduszonym młodzieńcu rosły, chęć do życia wracała. Żadna z kobiet nie rzuciła na Fryderyka takiego uroku jak Anna Orzelska.

Czym innym oczarowała go — po latach — wytworna dama z nadnoteckiego Margonina. Prawdziwa tym razem hrabina, bez fałszywej metryki i o wyraźniejszej konduicie. O ile kokieteryjna Orzelska drażniła przede wszystkim jego zmysły, o tyle Anna Maria Skórzewska, bodaj pierwsza wielkopolska sawantka, imponowała mu raczej wyjątkowym wykształceniem i nadzwyczajną inteligencją. To była kobieta w jego typie. C'est une espèce de phénomène*), pisał o niej w największym entuzjaźmie do Woltera. Ona umie po łacinie, grecku, francusku, włosku i angielsku, czytała autorów klasycznych i zna ich dobrze, elle a beaucoup d'esprit, poważnie rozmawia, nie ma w sobie nic z próżności rodzaju niewieściego. Najbardziej dziwi to, że wykształciła się sama, bez niczyjej pomocy. Już trzecią zimę spędza w Berlinie z uczonymi. Stawiam ją za wzór wszystkim naszym niewiastom, którym łatwiej przyszłoby wykształcić się niż tej Polce, lecz Prusaczki nie poznały jeszcze rozkoszy nauk.

Podziw Fryderyka II. dla uczoności, a może więcej sprytu i dowcipu wielkopolskiej pani Simpson wzrastał. Widział w niej jeszcze prostotę benedyktynki i serce szlachetne. Posyłał listy pełne kurtuazji, ujawniając troskę o rodzinę, męża i córki.

Skórzewska przybywała do Berlina z szumną świtą, bywała na redutach i obiadach królewskich, wszędzie przyjmowana „avec une faveur marquée“, miała też przystęp do Akademii Umiejętności, ba opracowała nawet wykład o pochodzeniu Polaków, czytany na jednym z posiedzeń oficjalnych. Po karnawale Poczdam-u następczyni tronu, potem wojaże, literatura, polowania, polityka i miłość.

— — A w gasnącej Polsce ukryci w lasach konfederaci barscy zmagali się z wrogiem w obronie honoru narodowego. — —

W duszy uczonej Polki, małżonki jenerał-lejtnanta wojsk koronnych, właściciela rozległych włości margonińsko-szubińskich, zakiełkował dramat. Mogła tak i owak wyzyskać wpływowe stosunki polityczne w Warszawie i w Berlinie.

W Drezdeńku bywali u niej dyplomaci pruscy i marszałkowie konfederacji, tu też zapuścił korzenie judasz-przyjaciel, osławiony Brenkenhof, emisariusz rządowy, co gorliwie się krzątał w obwodzie nadnoteckim, węsząc obfity łup. W Drezdeńku lub Margoninie łowił podstępnie nowinki warszawskie i petersburskie, zasięgał języka o planach konfederatów barskich, donosząc pokornie o wszystkim najmiłościwszemu panu...

Piękna hrabina ważyła w myślach gdzie zdeponować swoje przemożne wpływy: serce skłaniało się ku Warszawie, chłodny rozum szeptał posępne słowo: Berlin. Stolica nadsprewiańska otwierała pomyślniejsze horoskopy. Zwycięski monarcha po wojnie siedmioletniej upajał się triumfem, głowy koronowane, filozofowie i pisarze składali mu hołdy, pałac w Sans-Souci przejmował rolę podupadłego Wersalu. Fryderyk rósł w potęgę militarną i ekonomiczną, cóż biedna Polska znaczyła. Latyfundia nadnoteckie Skórzewskich, przedtem Gębickich i Ciecierskich: Margonin, Szubin, Łabiszyn, olbrzymi szmat ziemi wielkopolskiej pewniej było zabezpieczyć protekcją co raz silniejszej państwowości pruskiej. Młoda i bogata pani podświadomie wprzągała swe walory umysłowe w służbę spraw osobistych. Ale dramat duszy się potęgował. Czuła, że porywa ją w drapieżne szpony genialny spryciarz i kombinator. Interes państwa podsuwa mu plany inne. Bez sentymentów. Plany imperialistyczne. Uczucie ustępuje prawdziwie pruskiemu rozsądkowi.

Generałowa nie widzi zresztą ratunku pod niepewnym skrzydłem Stanisława Augusta, wykwintnego wprawdzie Europejczyka, ale pupila barbarzyńskiej Rosji. A wybierać trzeba!

Arystokracja wielkopolska grawitowała ku Prusom, bo dzień sądny się zbliżał. Moskale już grasowali nad Wartą i Notecią. Koronowany filozof przystępował do dzieła aneksji. Agent Brenkenhof wykreślał nową granicę. Zbyt gorliwie i bezprawnie, wbrew projektom rządu i układowi z Rosją.

Tragedja duchowa zamożnej dziedziczki osiągnęła punkt kulminacyjny.

Kordon pierwszego rozbioru miał iść wzdłuż Noteci na Rynarzewo i Solec Kujawski, a więc pod samą Bydgoszczą, w której zjawił się

*) Cytaty listów w/g K. Zimmermanna.

osobiście Fryderyk, wydając ostatnie rozkazy. Nadgraniczne miasteczka i wioski pani generałowej pozostałyby przy macierzy. Skórzewska zapadła w trwogę na myśl, że intryga rosyjska uzna ją agentką pruską i rząd warszawski skonfiskuje wszystkie dobra. I oto — jak pisze w 1782 Meissner — wypada niepostrzeżenie w nocy na chłopskim wozie, w przebraniu, do Szamocina, błagając „przyjaciela" Brenkenhofa, aby objął zaborem także jej posiadłości... Wysoki urzędnik pruski wbił słupy graniczne o dwie mile głębiej w ciało Wielkopolski...

Wszystkie ziemie nadnoteckie pochłonęła zachłanność niemiecka...

— Ale sumienie Polki rychło się odezwało. Wszak niedawno temu ocaliła życie wielu konfederatom, popierała ideę barską, żyła w Polsce, była wolną. Teraz uwielbiany król coraz wyraźniej ukazywał czarne różki.

— Uczoną hrabinę pożerała rozpacz. „Oświecone" panowanie filozofa stawało się piekłem.

Zapada na zdrowiu, jedzie do ponurej stolicy, bez świty, po raz ostatni, nie na karnawał, po trumnę. Umiera w pełnym rozkwicie talentu i młodości, przekroczywszy dopiero trzydziesty rok życia. Spoczęła w berlińskim kościele św. Jadwigi. —

Zgasła w samą porę. Stary Fryc już jej nie potrzebował. —

Agent Brenkenhof pożartą Polską zatłuszczył sobie serce i skończył parę lat później. —

Czy nikczemna, pleśnią zdrady okryta Konfidentka pruska? Trudno powiedzieć, raczej tragiczna ofiara dezorientacji politycznej w wirze bolesnych wypadków dziejowych. Wielu wpływowych Polaków zatraciło w anarchii saskiej wszelki zmysł państwowy. — —

— — Wspomnienia o Annie Marii żyją w pięknym Lubostroniu, nowszym centrum ordynacji łabiszyńskiej oraz w magnackim Czerniejewie pod Gnieznem. Turysta obejrzy tam jej portrety i pamiątki po chytrym i chciwym królu — filozofie, który mimo zachwytu dla tej fenomenalnej Polki, jej rodaków całym sercem nienawidził. —

— W salonie czerniejewskim, w osobnej gablotce, obaczysz słynny kij nerwowego i zaniedbanego cynika...

Czuliśmy go na plecach, świszczał groźnie nad ziemią wielkopolską. —

KRONIKA POZNAŃSKA

Potężny, niespokojny rytm życia naszych czasów, w kalejdoskopowej swej zmienności dostarcza nam wprawdzie na każdym kroku ciekawych i barwnych zjawisk, ale za to oszołamia chaotycznością wrażeń. Dobrze jest więc czasami — na przekór obłąkanemu tempu współczesności — zatrzymać się na chwilę i spojrzeć wstecz, by z odpowiedniejszej nieco perspektywy ocenić zdarzenia, grupujące się już — dzięki owej możności ogarnięcia szerszych horyzontów — w poważniejsze kompleksy.

Wypadło mi tu właśnie scharakteryzować życie kulturalne Poznania na szerszym odcinku czasu, wobec czego sądy, niewypowiadane na gorąco, mogą być śmielsze i mniej ryzykowne zarazem. Jest to wprawdzie zadanie odpowiedzialne, lecz sądzę, że jedynie racjonalne, optymistyczne ustosunkowanie się do życia kulturalnego stolicy Wielkopolski i wiara w stały jego postęp — uchronią mnie od fałszywego oświetlania rzeczywistości.

Żeby rozpocząć od superlatywów wystarczy tylko dać na pierwszy ogień — muzykę. Choć będzie to brzmiało może nieszczęśliwie, lecz doskonale lapidarnie można powiedzieć, że Poznań jest miastem ogromnie muzykalnym. Chlubę przynosi miastu zwłaszcza reprezentacyjna orkiestra symfoniczna, której nieczęste występy są z reguły świętami dla licznych melomanów.

Dyr. dr Latoszewski zadowolony może być ze swej owocnej działalności nad ugruntowaniem kultury muzycznej w Poznaniu. Ostatnio mieliśmy sposobność dokonania przeglądu kilku czołowych zagranicznych dyrygentów. Na pierwszym miejscu postawimy tu Scherchena — mistrza w swym fachu wprost niezwykłego. Jego nowoczesna interpretacja klasycznej muzyki pozwoliła słuchaczom głębiej przeżyć piękno symfonij Beethovena i Mozarta. To też sukces był ogromny, tym bardziej, że Scherchen olśnił jeszcze fantastyczną pamięcią muzyczną i jak magnetyzer — mimo największej ekonomii środków — prowadził orkiestrę po zasłużone laury.

Młodzieńczego rozmachu nie szczędził za to w swej interpretacji Matacić, Jugosłowianin, obdarzony wybitnie południowym temperamentem. Zaimponował więc też nie Beethovenem i Schumannem, lecz tańcem jugosłowiańskim — Koło — Gotovaca i symfonią Szostakowicza, o bogatej instrumentacji, choć grzeszącą pewną beztreściowością.

Trzeci dyrygent — Hans v. Benda — specjalista muzyki kameralnej również stanął na wysokim poziomie — wykazując świetne panowanie nad orkiestrą i finezyjne wyprowadzenie każdego utworu. W tym towarzystwie trudno ocenić batutę Wiechowicza, który zaprezentował się z romantyczną muzyką polską i francuską — i on jednak zasłużył na dobrą notę.

Z solistów Rakowski — jedyny polski specjalista na violi d'amore — wzniósł się na wyżyny tego rzadkiego kunsztu, pianista Łukasiewicz natomiast wypadł dość blado, zaćmiła go zresztą orkiestra prowadzona przez żywiołowego Matacića. Solista poranku symfonicznego — pianista Rösler — zaprezentował nam dobrą średnią klasę.

Nie brak w Poznaniu i innych koncertów. Prym wodzi tu Kwartet Polski — zespół złożony z wybitnych bez zastrzeżeń muzyków. W ramach „Czwartków literacko - artystycznych" odbył się wieczór muzyki francuskiej. Był on bezwątpienia udany i wykazał potrzebę urządzenia bodaj całego cyklu takich imprez, zaznajamiających ogół z muzyką poszczególnych narodów, lecz nie należałoby zapełniać nimi „Czwartków", Poznań jest bowiem jeszcze zbyt ubogi w wartościowe wieczory literackie.

Dyrekcja Opery poznańskiej słusznie kieruje się w pracy swej pewnym konserwatyzmem — wystawiając na ogół opery najwartościowsze z żelaznego repertuaru, w nowych za to, bogatych inscenizacjach, ale mamy także ciekawe nowości — zwłaszcza z dziedziny twórczości polskiej. Przykładem „Maria" Statkowskiego, która dopiero pozwoliła poznać duży zapomniany talent tego kompozytora.

Brak oper w Polsce gromadzi na deskach poznańskiej sceny całą falangę wybitnych śpiewaków. Stąd każdy spektakl jest rewią szeregu artystów dużej klasy. Nie kalkuluje się to może finansowo, ale miasto bezwątpienia nie ma powodu żałować swej subwencji, dzięki której opera poznańska przoduje niezaprzeczalnie w kraju. Dr Latoszewski, sprawując osobiście kierownictwo muzyczne w najwartościowszych operach daje pewną rękojmię znacznego sukcesu artystycznego. Kapelmistrz Barański oraz reżyserzy — Janowska-Kopczyńska i Urbanowicz, będący przy tym doskonałymi śpiewakami, wkładają w swą pracę piękne doświadczenie, gwarantujące również wartościowe wyniki.

Śpiewaków i śpiewaczek nie sposób wszystkich wymienić. Dr Zawadzka olśniewała czystym i silnym głosem zwłaszcza w rolach „Aidy", „Leonory" (Trubadur) i „Tosci".

Dr Stokowska zagrała porywająco w „Trubadurze" rolę cyganki „Azuceny", imponując melodyjnością głosu o altowym zabarwieniu. Fedyczkowska była świetną „Marią", a nadto „Lizą" w „Damie Pikowej", choć zawsze jeszcze interesuje więcej grą, niźli walorami głosowymi. P. Dudicz - Latoszewska z talentem i wdziękiem łączy wybitną technikę aktorską, pozwalającą jej na obejmowanie czołowych ról. Kisielewska, Musielewska i Janowska-Kopczyńska, niezapomniana „Dama Pikowa", dopełniają tego przeglądu, bardzo zresztą niekompletnego.

Wśród panów znowu szereg asów. Niemal w każdej operze śpiewa Woliński, którego głos osiągnął obecnie nieprawdopodobną wprost siłę, mimo wielkiej miękkości. Jego „Faust", książę z „Rigoletta", „Radames" w „Aidzie", a zwłaszcza „Trubadur", były kreacjami na największą miarę. Drabik występował rzadziej, metalicznym swym głosem zachwycał w „Marii" i jako „Herman" w „Damie Pikowej". Wraga był demonicznym wojewodą w „Marii", Maj zaś imponującym „Amonastrą" w „Aidzie" i „Walentym" w „Fauście". Karpacki w „Tosce" i „Trubadurze", a Urbanowicz jako „Mefisto" w „Fauście" również wykazali nieprzeciętne walory.

Poza tym liczne były występy gościnne, przy czym przybywający artyści rzadko zawodzili oczekiwania. Najlepsze były: d'Ancona jako „Carmen" i „Amneris" w „Aidzie", oraz Mignon Spence, świetna śpiewaczka koloraturowa — w „Rigoletto". Marina Karklin w roli „Małgorzaty" z „Fausta" pokazała mało. Swietni za to byli: Czaplicki-„Amonaster" (Aida) i Brégy-„Cavaradossi" (Tosca). Tacy goście zawsze będą mile widziani. Ogółem grano w ostatnich tygodniach prócz „Marii": „Rigoletta", „Toscę", „Aidę", „Carmen", „Manon", „Trubadura", „Fausta" i „Damę Pikową". Bilans to naprawdę poważny.

W dziedzinie operetki wznowiono melodyjną i pełną uroku „Krainę uśmiechu" z Dudicz - Latoszewską, Fontanówną, Dembowskim i Sendeckim w głównych rolach — bez wyjątku udanych. Wielki sukces przyniósł Ptasznik z Tyrolu — Zellera, jedna z najpiękniejszych operetek w ogóle. Tu królowały Fontanówna wespół z Musielewską, główną zaś rolę kreował Dembowski w asyście Winczewskiego, Bratkiewicza, Sendeckiego i Herskiego. Całość wypadła barwnie i zajmująco. Ostatnio grane „Miłostki kadetów" Györgij'ego i Steinbrechera dzięki niezwykle żywemu tempu, doskonałej oprawie scenicznej i grze Downunta, Winczewskiego, Dembowskiego i Cirina

KLEMENSA JANICKIEGO „TRISTIA" — ELEGII VII URYWEK

PRZEŁOŻYŁ JÓZEF BIRKENMAJER

...Nad żnińskimi bagnami wioszczyna śród wzgórz się rozsiadła:
od Januszka ma imię co tu osadę wzniósł [1].
Wieści głoszą, że tędy — zdradzieckie mijając mokradła —
niegdyś polscy królowie z Gniezna jeździli do Prus.
Tam mój rodzic wytrwale lemieszem ziemię uprawiał,
człek poczciwy i prawy — chociaż ubogi kmieć.
Właśnie-ć on nad utratą swych dziatek serce zakrwawiał,
które sroga zaraza w zgubną pojmała sieć;
ale w dziesieć miesięcy ten ból sierocy już opadł,
mnie gdy ojciec obaczył przychodzącego na świat...
Dodam, iż dzień niedzielny to był — siedemnasty listopad:
w samo południe w kolebkę promień mi słońca się wkradł.
Było to w owym czasie, gdy po małżonce swej młodej
skończył roczną żałobę nasz owdowiały król, —
po Barbarze, z Wilków Trenczyńskich wiodącej swe rody [2],
której zgon narodowi przyniósł niezmierny ból..
Pięć miałem lat zaledwie, gdym już do nauk się wdrażał,
kiedy już Muz przybytek widział mnie u swych wrót.
Bo mój ojciec, co nazbyt słabościom moim pobłażał,
nie chciał, by życie moje twardy przytłaczał trud,
by od pługa ciężkiego słabiuchne mdlały mi ręce,
by niszczyło mi cerę lato upałem swym...
Kiedym u prostych mistrzów nauki zdobył chłopięce
(jeno tyle zawdzięczam, Żninie, mieszkańcom twym!),
wszedłem do owej uczelni, którą Lubrański niedawno
właśnie założył nad brzegiem Warty przejrzystych wód.
Tutaj męża poznałem, co z wiedzą głęboką a sławną
spraw łacińskich i greckich — łączył i zapał i trud [3].
On z ochotą się podjął uprawy naszego zagona;
wierną, sumienną pieczę, ciągły miał nad nim znój.
Tam to najpierw słyszałem przesławne imię Marona,
tam o słuch mój uderzył rozgłos, Nazonie, twój.
Posłyszawszy zaś, czcić ich zacząłem, nie wierząc, iż coś-by
nad poetów większego mógł mieć (prócz bogów!) ten świat!
Ach, jakie łzy wylewałem i jakie zaklęcia i prośby
słałem do Feba, co wieszczów miewa w opiece rad:
by mnie, sługi nędznego swojego, nie wzgardził okrutnie,
bym w jego chórze śpiewakiem — choćby najlichszym — być mógł!...
Skinął — podchodzę ku niemu — ująłem pałeczki i lutnię,
które mi własną swą dłonią wręczył łaskawy bóg.
Wziąwszy, grywałem żarliwie i pilnie. Bez lutni mej złotej
nie wiem, czy noc choć jedna, dzień choćby jeden mi zbiegł!
Nigdy mnie nie brał żal, ani wstręt do podjętej roboty:
zawsze dawałem z siebie, ile pozwalał mi wiek!
Kiedy przy pełnej widowni czytałem pierwsze me pieśni,
właśnie bez trzech miesięcy miałem szesnaście lat:
Lubrańskiego sławiłem, bom widział, że najpocześniej
jemu się pierwszy należy mojej poezji kwiat.
Poklask u tłumu zdobyłem, nie przeto, bym jego był godzien:
tylko wielkie nadzieje budził ten mały smyk...
Odtąd mym rówieśnikom za wzór stawiano mnie co dzień,
odtąd szkoły kierownik stale wyróżniać mnie zwykł.
Gdym zakosztował uznania, ambicją już byłem porwany,
zwłaszcza że i z natury nigdy nie było jej brak;
z każdym dniem coraz śmielsze żywiłem zamiary i plany,
coraz to wyżej się piąłem w sławy podniebny szlak...
Naraz, w drogi połowie, ubóstwa mnie ciążar obarczy,
iść nie pozwala w górę, wadzi jak kula u nóg!
Ojciec złamany oznajmił, że grosza już mu nie starczy,
iżby dalszą naukę moją opłacać mógł...,
Byłbym pewno zmuszony zaśpiewać Muzom waletę,
gdyby mi w biedzie nie pomógł niespodziewany los...

---

[1] Januszkowo, wieś pod Żninem, 50 km od Gniezna, miejsce rodzinne poety. — [2] Barbara, córka palatyna węgierskiego Zapolyi, pana na Trenczynie, pierwsza żona Zygmunta Starego, zmarła 2. X. 1515. — [3] Rudolf Hegendorfinus, profesor szkoły Lubrańskiego w Poznaniu.

oraz Fontanówny i Musielewskiej musi się zaliczyć do wysoce udanych premier. Kapelmistrz Buchwald ma tu też niewątpliwe zasługi. Wszystkie dekoracje Spingera są zawsze majstersztykami godnie dopełniającymi całości. Ponadto silnym punktem Teatru Wielkiego jest choreografia w opracowaniu Statkiewicza.

Teatr Polski w ogólnej perspektywie musi również zostać sklasyfikowany wysoko. Wydaje się jednak, że w porównaniu z repertuarem zeszłorocznym sztuki ostatnio grane nie zawsze są tak wartościowe. Przedewszystkim jednak publiczność sprawia często zawód, psując najpiękniejsze wysiłki aktorów i reżysera. A główny reżyser Teatru Polskiego, Dąbrowski, to rzeczywiście pracownik w swej dziedzinie pierwszorzędny. (Odczyt jego w „Salonie 35" o nowoczesnej reżyserii był jedną z najlepszych prelekcyj na tematy teatralne w ostatnich czasach.)

„Podwójna buchalteria" przerobiona na komedię muzyczną o zabarwieniu lokalnym, udała się Dąbrowskiemu znakomicie, zwłaszcza dzięki żywiołowej grze Zawistowskiego. „Mirandolina" Gddoniego mimo poważnego już wieku raz jeszcze wykazała wszystkie swe walory sceniczne.

Zobaczyliśmy też jeszcze nową komedię Kiedrzyńskiego „Serce na wolności". Wykazała ona, że autor wprawdzie niczego nie zapomniał, ale też niczego się nie nauczył w swej długiej karierze komediopisarza. Jak zawsze — typy są płytkie, akcja zaś szyta najgrubszymi możliwymi ściegami Ratuje sztukę duże — mimo wszystko — wyczucie sceny i dobra gra artystów, Noskowskiego, Plucińskiego, Łabuńskiej, Galińskiej i in.

Umyślnie tak się skracam, dłużej bowiem zamierzam zatrzymać się przy „Proteście" Bąka. Ten debiut sceniczny mógł się łatwo zakończyć odkryciem wielkiego dramaturga — taką przynajmniej żywili nadzieję zwolennicy poety. Byłem jednym z nich i przyznać muszę, że Bąk zawiódł oczekiwania. Winę ponoszą wszyscy ci, co w jego poezji doszukiwali się silnych pierwiastków dramatycznych, gdy góruje w niej liryzm i metafizyka o krótkim oddechu (przykładem — chybiony dłuższy poemat o wikarym). Bąk — poeta naprawdę wyjątkowy — zamiast zaprotestować przeciwko podszeptom doradców — napisał „Protest". Protestował przeciwko życiu ułatwionemu dzisiejszych czasów. W imię jakich nowych wartości wnosił swój sprzeciw — niewiadomo. Ale nie można winić autora, że nie rozwiązał postawionych przez siebie problemów — to już zależało od jego dobrej woli. Za to mamy prawo domagać się w jego sztuce prawdy psychologicznej i należytego umotywowania akcji. Bohaterka „Protestu" — Barbara — mogła ostatecznie popełnić samobójstwo, jako akt sprzeciwu, wymierzony w bezlitosny, egoistyczny epikureizm naszych czasów, ale co ją bezpośrednio popchnęło do tego kroku? — Tu sprawa się gmatwa. Barbara czerpie motywy swego czynu raczej z refleksji, niźli z własnej sytuacji, bo po pierwsze nie kieruje nią miłość, ani jeszcze żywa, ani zagasła, zawiedziona, po drugie — jej mąż jest płytkim kabotynem, nie reprezentującym żadnych wartości — nawet ujemnych, gdyby tylko miały one jakiś rozmach światoburczy.

Wobec tego samobójstwo jedynie, jako rezultat rozważań nad etyką i moralnością, wypadło sztucznie. Konflikt dramatyczny — sprawa rozwodu — wynikł jedynie na skutek nierównych kwalifikacyj umysłowych, a przez to i moralnych małżonków. Ale Barbara tym samym jest współwinowajczynią — świadomie bowiem naraziła się przez małżeństwo na taki los. W rezultacie brak prawdy psychologicznej jest aż na zbyt widoczny. Sztuka mogłaby zrobić wielkie wrażenie, gdyby doszło do konfliktu moralności ze złem — naprawdę przedstawiającym jakąś siłę — a więc do czegoś w rodzaju odwiecznej walki Ormuzda z Arymanem.

Miejmy jednak nadzieję, że drugi dramat Bąka „Tyberiusz" już nie zawiedzie.

Koronkiewiczówna — Barbara, Hańcza — Jerzy, Ludwiżanka — Hania i Sachnowska w roli matki dali w „Proteście" bez wyjątku rzetelne kreacje.

Teatr Polski wystawił następnie „Kwadrans przed dwunastą" Lothara i Adlera z Boelkem, Łabuńską i Ludwiżanką w czołowych rolach, sztukę lekką i bezpretensjonalną, doskonale przy tym zagraną. Bardziej sceniczna jest jednak „Zamieszaj" — rumuńska komedia Herza — jedno wielkie, zabawne qui pro quo, z typu najbardziej niestety odpowiadających publiczności, pożądającej beztroskiego dowcipu sytuacyjnego. Zasadzianka, Koronkiewiczówna, Kierczyński — święcą tu prawdziwe triumfy.

Teatr Nowy wystawił „Kochanków" Grubińskiego. Był to gościnny występ artystów warszawskich, Cieszkowskiej, Kwiatkowskiego i Małgorzewskiego — bardzo udany i wartościowy. Treść sztuki, podobna nieco do Sofoklesowego Edypa, lecz uboższa w ideę przeznaczenia i problem winy i kary, zredukowana do mało prawdopodobnego przypadku — dawała jednak jeszcze widowisko ciekawe. „Tempo, tempo"... z Jaroniem i Zaklicką oraz Dowmuntem, była doskonałą satyrą naszych czasów, pełnych nieprawdopodobieństw i zawrotnych przeskoków fortuny. W sumie sztuka ta wypadła efektownie. — „Gałganek" Nicodemiego trącał z kolei w nutę sentymentalizmu. Losy opuszczonej, lecz dzielnej dziewczyny mogły naprawdę wzruszyć widza. Z artystów wyróżnić należy Kwiatkowską i Wronckiego. Sztuka „Mata Hari" Kellemana nie miała za to prawie żadnych wartości scenicznych, chociaż temat nadaje się bajecznie na scenę. Podtrzymywali sztukę artyści, wychodzący poprostu ze siebie: Cieszkowska i Lubicz-Lisowski. I wreszcie wystawiono „Rower japoński" Chrzanowskiego z Zielińską, Lubicz-Lisowskim i Kwiatkowską. Młody autor dał lekką komedię o zacięciu forsownym, ale niezupełnie czystą w tonie. Poza tym całość wykazuje bardzo liczne jeszcze usterki, banalne zwłaszcza jest zakończenie. Sprawia to, że sztuka niebardzo przykuwa uwagę widza. Wykonawcy i reżyseria zadowolili za to w zupełności.

Na koniec zostawiam sobie życie literackie, skupiające się dokoła Pałacu Działyńskich. Usłyszeliśmy tu szereg wartościowych prelekcyj, niektóre z nich jednak nie mogły zadowolić. Pomijając już sprawę wieczoru francuskiej muzyki, trzeba zaznaczyć, że oddawna nie gościliśmy w Poznaniu poważniejszego literata. Obecnie dopiero Wańkowicz, świetny gawędziarz, mówiąc na temat: „Tam, gdzie się kończy Europa", wypełnił tę lukę. Morstin z odczytem „Kopernik nad Dunajem" barwnie przedstawił wprawdzie pochód swej sztuki o Koperniku przez południową Słowiańszczyznę, lecz spodziewano się po nim czegoś więcej. Skłonny do ciągłych przeobrażeń Skiwski był może najbardziej powołany do omówienia kwestii „Wolności i niewoli w literaturze", zadania swego jednak nie wypełnił w całości, nie naświetlając sprawy wszechstronnie i objektywnie. Kazimierz Czachowski, krakowski historyk literatury nie mógł przybyć osobiście, nadesłał tylko rękopis, stanowiący fragment większej całości, a przez to „Ludzi zjawisk" było tam mniej, niżby się można spodziewać, nadto zaś brakowało syntezy i pogłębienia. Rybicki znowu jest zbyt odosobniony ze swymi poglądami, wyrażonymi w odczycie p. t. „Dzieło sztuki i czas", żeby mógł znaleźć oddźwięk i zrozumienie. Widzimy więc, że „Czwartki" literackie i teoretyczno-literackie prześladował jakiś wyjątkowy pech. Mamy jednak nadzieję, że w dziedzinie tej nastąpi poprawa.

Na tematy filozoficzno-społeczne, od czasu ciekawych wywodów prof. Znamierowskiego o państwie totalnym, nie mieliśmy ostatnio nowych prelekcyj. Prof. Ułaszyn miał odczyt raczej o charakterze popularyzatorskim na przestarzały już temat, bo o nowej pisowni, nie dodał tu jednak niczego nowego. Wreszcie dobrze znane, wielokrotnie już publikowane dzieje swej znajomości z Wilhelmem II., opowiedział Wojciech Kossak. Publiczność poznańska niemal rozsadziła mury Pałacu Działyńskich, był to jednak raczej hołd dla zasłużonego malarza, którego wystawa jubileuszowa odbyła się właśnie w Bazarze, niźli zainteresowanie błahym bądź co bądź tematem.

Poza tym odbył się jeszcze w Poznaniu szereg innych imprez artystycznych, stale np. Koło Polonistów urządza udatne „Wieczory oryginalnej twórczości", a nadto trudno wyliczyć wszystkie odczyty, wieczory, występy wokalne czy choreograficzne, a zwłaszcza szereg wystaw, wymagających osobnego omówienia.

Sądzę jednak, że mimo tych braków obraz życia kulturalnego Poznania z przekroju ostatnich miesięcy jest tak zróżnicowany, że mogę zakończyć swą kronikę bez obawy, żeby wypadła ona ubogo.

Poznań, w marcu.

Alfred Kowalkowski.

KRONIKA BYDGOSKA

Uważny obserwator życia kulturalnego Bydgoszczy wkrótce dojdzie do przekonania, że większość zasług około krzewienia kultury w tym mieście przypisać należy Radzie Artystyczno - Kulturalnej To też sporządzając bilans wydarzeń kulturalnych za rok ubiegły wszędzie dopatrzyć się będziemy musieli inicjatywy wspomnianej instytucji.

Działalność jej była nader wszechstronną. Urządzane przez nią wieczory dyskusyjne stanowiły imprezę, która tchnęła nowe życie w spoczywającą do niedawna w letargu inteligencję bydgoską. Na tej jednej pozycji nie kończą się zasługi Rady. Dzięki jej współpracy bowiem, i dzięki wydatnej pomocy Prezydenta Bydgoszczy — zdołali malarze bydgoscy, którzy nie omal w całości wzięli na siebie ciężki trud reprezentowania na zewnątrz bydgoskiej sztuki, zorganizować wystawę w Zachęcie warszawskiej. Wystawa ta wzbudziła liczne echa i została oceniona nagół przychylnie.

Jedna została tylko luka w całokształcie prac Rady Artystyczno - Kulturalnej. Nie potrafiła ona mianowicie pchnąć na szersze wody cierpiącej wiecznie na anemię literatury bydgoskiej. Wieczór młodych poetów bydgoskich, przygotowywany początkowo z całym rozmachem nie doszedł niestety do skutku. Jest jednak nadzieja, że nowy zarząd opanuje i tę dziedzinę.

Równolegle z działalności Rady Artystyczno-Kulturalnej*) idzie praca Teatru Miejskiego, pod dyr. Wł. Stomy, która zaczynapowoli dawać coraz poważniejsze rezultaty. Minęły już te czasy, kiedy na sztukach dramatycznych widownia świeciła pustkami, a publiczność zjawiała się tylko na operetki. Dzisiaj operetka zepchnięta jest jakoby na drugi plan. Publiczność na ogół dość ma już szablonu i wiecznych happy-endów, którymi darzą nas nie odmiennie autorzy licznych małowartościowych operetek. Pozostaje jeszcze klasyczny repertuar operetkowy, do którego często sięga dyr. Stoma. Z pośród nowszych operetek wybiera się zawsze najlepsze, a nie wielkie na ogół walory artystyczne samej sztuki pokrywa się z reguły wyborową obsadą ról. Można jednak stwierdzić, że Teatr Miejski potrafił wychować sobie publiczność, łaknącą rzeczy poważniejszych. a zawodzącą tylko w nie wielu wypadkach. W bieżącym sezonie raz tylko zabrakło widzów i to na „Fantazym" Słowackiego. Żywić jednak należy nadzieję, że z czasem i najtrudniejsze nawet sztuki znajdą zrozumienie u publiczności. Wysoko stanęła w bydgoskim teatrze przede wszystkim — komedia, do czego nie mało przyczyniły się wybitne siły reżyserskie, za jakie uważać należy pp. Koreckiego i Szyndlera. Największym powodzeniem cieszyła się „Matura" Fodora, tak dzięki zawsze żywemu tematowi, jak i wysokiemu poziomowi gry aktorskiej. Tu dodać trzeba, że Teatr Miejski ma pochwały godny zwyczaj obsadzania charakterystyczniejszych ról sprowadzonymi specjalnie do danej sztuki aktorami. W „Maturze" mieliśmy dzięki temu sposobność podziwiać kreację p. dyr. Szczurkiewiczowej. Po za tym grano prawie wyłącznie sztuki autorów polskich, co jest specjalnością teatru bydgoskiego i stanowi jego największą chlubę. Jednym z ważniejszych wydarzeń w tej dziedzinie było wystawienie „Domu Otwartego" Bałuckiego. Nad to widzieliśmy prapremierę sztuki młodego amerykańskiego Polaka J. Folanda p. t. „Bessie". Fabuła wprawdzie była tu nie zbyt zrozumiałą dla umysłowości mieszkańca starego świata, a poszczególne wątki akcji szyte były grubymi nićmi, lecz mimo wszystko tętnił w niej nie kłamany talent i nerw sceniczny, a doborowa obsada aktorska i reżyseria sprawiły, że „Bessie" mogła się b. podobać.

* * *

Wydarzeniem o charakterze bardzo poważnym i bardzo pamiętnym był pogrzeb wielkiego sąsiada Bydgoszczy prof. Leona Wyczółkowskiego. Wyczółkowski od szeregu lat mieszkając w Gościeradzu pod Bydgoszczą, tak ukochał to miejsce, że pragnął w jego pobliżu spocząć na wieki. To też zgodnie z wolą wielkiego Zmarłego, przywieziono zwłoki jego z Warszawy do Bydgoszczy, aby następnie przewieźć je do Wtelna pod Gościeradzem. Cała Bydgoszcz oddała hołd znakomitemu artyście, biorąc tłumny udział w pogrzebie, organizowanym na koszt miasta Bydgoszczy. Organizacją pogrzebu zajęła się Rada Artystyczno-Kulturalna, a zajęła się tak, że pogrzeb wielkiego artysty stał się jednocześnie wspaniałą manifestacją na jego cześć. W pogrzebie obok przedstawicieli całej Bydgoszczy wzięli udział delegaci najwyższych władz polskich oraz przedstawiciele uczelń i zrzeszeń artystycznych.

Dalszym uczczeniem pamięci Wyczółkowskiego będzie galeria jego imienia stworzona ze zbiorów po ś. p. Wyczółkowskim, oraz album jego dzieł, przygotowywany przez R. A. K. w Zakładach Graficznych Biblioteki Polskiej. Ale o tym poinformujemy obszernie w następnej kronice bydgoskiej

Z. Ząb.

*) Gdy mowa o działalności Rady Artyst.-Kulturalnej — to w pierwszym rzędzie podkreślić należy ogromne zasługi b. prezesa Rady, dyr. Eugeniusza Wasilewskiego, którego ofiarnej pracy zawdzięcza Rada taki piękny, bogaty i owocny rok. (Przyp. Red.)

KSIĄŻKI NADESŁANE

Roczniki Katolickie na rok Pański 1937. Tom XIV. opracowane przez ks. Nikodema Cierzyńskiego, nakładem autora, Poznań, str. 338.

Wiktor Alter: Antysemityzm gospodarczy w świetle cyfr. Warszawa 1937, str. 62. Wydawnictwo „Myśli socjalistycznej".

„Krew Ziemi" tom wierszy Leonarda Turkowskiego. Winietę projektował Wit. Gawęcki. Nakładem księgarni J. Dippla w Poznaniu.

CZASOPISMA NADESŁANE

„Orka". Poznań, marzec 1937, miesięcznik społeczny.

„Orlęta". Nr Nr 7 i 8, Poznań, miesięcznik polskiej młodzieży szkolnej.

„Zrzesz Kaszëbskô". Rok V. nr 3, 1937, miesięcznik kaszubski wychodzący w Kartuzach.

Kronika Gostyńska. Rok VIII nr 1, czasopismo regionalne wydawane przez Pol. Tow. Kult. i Sztuki im. Al. hr. Fredry (Fredreum) w Gostyniu.

„Kronika" ukazała się po rocznej przerwie i zawiera cały dorobek działalności wspomnianego tow. jak i przyczynki do dziejów ziemi gostyńskiej.

*

Kronika Gostyńska. Nr 2.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.